



Marisa Carroll



Ze szczerego serca

WALENTYŃKI '95

1

- Wiem, że nie chcesz tego słuchać, Lori. - Pomimo blisko pięćdziesięciu lat spędzonych w Ameryce, akcent doktor Gertrude Bengtson wyraźnie zdradzał jej austriackie pochodzenie. - Ale nie radziłabym ci dłużej zwlekać z operacją. Na razie twój stan jest dobry, ale nie jestem kardiologiem i nie mogę gwarantować, jak długo jeszcze tak będzie. Musisz się liczyć z tym, że zwlekanie może grozić naprawdę poważnymi konsekwencjami.

- Danny mówi, że mam złamane serce.

Lori odwróciła się od okna, za którym widać było skąpane we wrześnie słońcu drzewa w Central Parku i spojrzała przyjaciółce w oczy. Starła się nie zdradzić lęku, jaki budziła w niej myśl o operacji.

- Danny to naprawdę mądry facet - odpowiedziała Gertrude z uśmiechem.

Kiedy urodził się przed ośmiu laty, wszyscy wokół radzili Lori, żeby oddała go zamożnym rodzicom swego chłopaka. On sam nie wykazywał najmniejszego zainteresowania losem syna. To Gertrude, która odebrała poród i miała okazję dokładnie przyjrzeć się całej sytuacji, umocniła wtedy samotną, załamana i nie mającą centa przy duszy dziewczynę w decyzji zatrzymania dziecka. Lori nigdy nie żałowała tego postanowienia, a obie kobiety, pomimo dzielącej je różnicy wieku, stały się bliskimi przyjaciółkami.

- Czy naprawdę nie ma innego wyjścia niż operacja?

- Gdyby było, nie namawiałabym cię na nią. Wiszące na ścianie liczne dyplomy potwierdzały rzetelność jej słów. Ale zaufanie do

przyjaciółki nie zmieniało taktu, że Lori trudno było podjąć ostateczną decyzję. Splotła ręce na piersi, żeby ukryć przed Gertrude ich drżenie.

- A czy naprawdę nie można by tego zrobić na miejscu? - Sama nie umiałaby powiedzieć, ile razy zadała już to pytanie.

- Gdyby w grę wchodziła tylko operacja, to tak. Ale wiesz dobrze, że chodzi mi o coś jeszcze. Chcę, żebyś wyjechała z Nowego Jorku, oderwała się na jakiś czas od tego miasta i od swojej pracy. Fatalnie wyglądasz. Zabijasz się na raty.

- Dramatyzujesz - Lori spróbowała się uśmiechnąć. Jestem po prostu samotną matką bez żadnego wsparcia

w rodzinie. Wszystko muszę zapewnić dziecku sama. W takiej sytuacji stres jest czymś normalnym.

- Masz trzydzieści dwa lata i poważnie chore serce. Nie możesz się dłużej przepracowywać. Pamiętaj, że będziesz Danny'emu potrzebna jeszcze przez wiele lat. - Gertrude zdawała się tracić cierpliwość. - A poza tym nie zamierzam cię przecież zesłać na koniec świata.

- Nie - przyznała Lori. - Tylko do Ohio.

- Mój szwagier jest jednym z najlepszych chirurgów sercowo-naczyniowych w kraju. A kliniczny szpital stanowy w Ohio jest znany na całym świecie.

- Ale wszystko to leży o tysiąc kilometrów od Nowego Jorku i firmy maklerskiej „Carter, Finkbeiner i Strauss”.

- Dokładnie tak - Gertrude skinęła głową. - Możesz wprowadzić się do mojego domu w Willow Creek. Zobacysz, nie będzie wam tam źle. Damschroederowie mieszkają tuż obok. Serena jest cudowną osobą i ma

kilkoro własnych wnuków. Na pewno z przyjemnością zajmie się Dannym, gdy będziesz w szpitalu.

- Nie chcę go odrywać od szkoły i przyjaciół. To będzie dla niego wstrząs.

- Zapewniam cię, że większym wstrząsem będzie dla niego twoja śmierć.

Gertrude podniosła się z krzesła. Była od Lori o czterdzieści lat starsza, o trzydzieści kilo cięższa i wyższa o głowę.

- Czy masz zamiar powiadomić o operacji ojca i dziadków Danny'ego?

- Nie mam pojęcia, gdzie podziewa się jego ojciec. Ostatni raz słyszałam o nim, gdy wybierał się do Nowej Zelandii z jakąś nie znaną nikomu grupą rockową.

- A co z Charlesem i Lydią?

- Najpoważniejszy argument na rzecz przeprowadzki do Ohio jest właśnie taki, żeby wreszcie się od nich oddalić. Moja choroba byłaby dla nich tylko kolejnym argumentem, żeby domagać się powierzenia im opieki nad wnukiem. Brak mi siły do ciągłej walki z nimi.

- Nie wybaczyłaś tego, co zrobili po urodzeniu Danny'ego, prawda?

- Nie. I chyba nigdy nie daruję im, że kiedy leżałam ledwo żywa po porodzie, wmaszerowali do mojego pokoju z prawnikiem, domagając się, żebym zrzekła się prawa do własnego dziecka. Pamiętam, że przyszło mi wtedy do głowy, że krawat ich adwokata musi być wart więcej niż cały mój majątek.

- Trzeba przyznać, że nie wykazali wiele taktu - przyznała Gertrude.

- Taktu! - prychnęła Lori. - Jak zawsze w życiu posługiwali się tylko groźbą i przekupstwem!

- I dlatego zrobiłaś wszystko, co możliwe, żeby dorównać im zamożnością i zabezpieczyć syna przed pokusami, jakie mogliby mu stwarzać?

- Nie, Gertrude. Naprawdę nie tylko niechęć do nich decyduje o wszystkim, co robię. Myślę, że jest w tym też trochę poczucia odpowiedzialności. W końcu dzieciom potrzeba czegoś więcej niż tylko miłości.

- Ale skoro już mówimy o miłości, to musisz przyznać, że oni kochają Danny'ego tak samo jak ty.

Lori przypomniała sobie przerażające poczucie bezradności, jakie odczuwała przed ośmiu laty wobec natarczywości Charlesa i Lydii Michaelsonów. Nigdy więcej nie chciała się tak czuć. Nigdy!

- Bardzo cię proszę, Gertrude, nie rozmawiajmy więcej na ten temat.

- Jak chcesz - brzmiała odpowiedź, choć Lori czuła, że lekarka niejedno miałaby jej jeszcze do powiedzenia.

- Dziękuję ci. Przyjaciółka machnęła ręką.

- Któregoś dnia, gdy będziesz miała już tyle lat co ja, lepiej ich zrozumiesz.

- Możliwe.

- Szkoda tylko, że wtedy już dla wszystkich będzie za późno - Gertrude nie mogła sobie darować przyjemności zamknięcia dyskusji.

- Myślę, że najlepiej będzie, jeśli przeniesiemy się podczas ferii świątecznych - odezwała się Lori, chcąc zmienić wreszcie temat. - Do tego

czasu zamknę część spraw, przekażę najważniejszych klientów w dobre ręce i przygotuję Danny'ego do myśli o wyjeździe.

- Nie, kochanie. Pojedziesz teraz. Masz przeszło dziesięć kilo niedowagi i ciągle chudniesz w oczach. Przed operacją musisz odpocząć i odzyskać siły.

- Jak długo to potrwa? - jęknęła zrozpaczona Lori.

- Przynajmniej cztery miesiące. - Gertrude wyszła zza biurka, dając w ten sposób do zrozumienia, że wizyta dobiegła końca. - Stać cię na to, a od panów Cartera, Finkbeinera i Straussa należy ci się porządny urlop za te wszystkie lata, które u nich przepracowałaś. Jak cię znam, to w ciągu tych ośmiu lat nie wzięłaś ani jednego wolnego dnia.

- Mam obowiązki...

- Ani słowa więcej, bo skażę cię na sześć miesięcy. Lori przygryzła wargę, ale nie powiedziała już ani słowa.

- Jesteś uparta, ale masz dosyć zdrowego rozsądku, żeby wiedzieć, kiedy należy walczyć, a kiedy ustąpić. To dobrze. - Gertrude z zadowoleniem skinęła głową. - Przyda ci się to w ciągu przyszłego roku. Zobaczysz, że wszystko będzie dobrze, Lori.

- Naprawdę tak sądzisz?

- Oczywiście.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz. No trudno, skoro nie mam wyjścia, to skontaktuj się ze swoim szwagrem.

- Wiedziałam, że podejmiesz właściwą decyzję. A teraz chodź. Pora na obiad. Jestem już okropnie głodna, a ty też musisz jeść, żeby nabrać sił.

- Przykro mi, ale nie mam czasu - odparła natychmiast Lori, potrząsając głową.

- Nie przyjmuję żadnych wymówek - zaprotestowała łagodnie Gertrude. - Chodź, ja stawiam.

- W takim razie - Lori uśmiechnęła się, czując, że to jedyny sposób na powstrzymanie łez - nie mogę ci odmówić.

Lori i Danny przyjechali do Ohio na początku października. Równinny krajobraz prześwietlony był słońcem, na drzewach złociły się liście. Nic nie zapowiadało zimy, Gertrude ostrzegła jednak przyjaciółkę, żeby była gotowa na jej wczesne przyjście.

- Dzień dobry, pani Fenton. Można?

Pukanie i głos dobiegały zza drzwi prowadzących na werandę. Nie zapowiedziane wizyty, rzecz nie do pomyślenia w Nowym Jorku, były kolejnym elementem nowej rzeczywistości, na który kazała jej się przygotować Gertrude.

- Proszę - Lori otworzyła drzwi i ujrzała przed sobą niską, pulchną kobietę, trzymającą w wyciągniętych rękach nakryty rondel, z którego dobiegał cudowny zapach.

- Witamy w Willow Creek. Jestem Serena Damschroeder.

- Dziękuję - odpowiedziała, zaskoczona i wzruszona.

- Jestem Lori Fenton.

- Wiem - odparła kobieta ze śmiechem. - Spodziewaliśmy się ciebie. Mam nadzieję, że ci się tu podoba.

- Tak.

Prawdę mówiąc, Lori czuła się trochę onieśmielona ogromnym, starym domem. Całe życie spędziła w małych mieszkankach i teraz jej dobytek zdawał się ginąć w wielkich pomieszczeniach, w jakich przyszło jej mieszkać. Zawartość całej kuchni zmieściła się w jednej szafce,

nowoczesne fotele i telewizor z ogromnym ekranem dziwacznie wyglądały w saloniku ze starymi, bogato zdobionymi meblami, ciężkimi zasłonami na oknach i kwiecistymi tapetami na ścianach. Tylko Danny ze swoimi zabawkami wydawał się nie mieć żadnych trudności z adaptacją do nowego miejsca.

Lori odebrała od swojej nowej sąsiadki potrawę, odstawiła na starodawną lodówkę i zamknęła drzwi.

- Czy mogłabym ci w czymś pomóc? Albo może przysłać którąś z dziewczyn? Mam cztery córki, wiesz?

- Naprawdę?

- Tylko Dede, najmłodsza, jest jeszcze ze mną. Ale wszystkie mieszkają tu w sąsiedztwie. No i mam jeszcze trzech synów - dodała z dumą Serene.

- Siedmioro dzieci?

- I czworo wnuków.

- Wielki Boże!

Lori była zupełnie oszołomiona. Miała tylko jedno dziecko, jej rodzice nie żyli od lat. Nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, jak może wyglądać życie w tak licznym gronie.

- Damschroederowie zawsze mieli duże rodziny - powiedziała Serena, siadając na podsuniętym jej przez Lori krześle. - Masz tylko jedno dziecko?

- Tak, Daniela, ale mówię na niego Danny. Ma osiem lat.

- Widziałam go dzisiaj w szkolnym autobusie. Wydaje mi się, że świetnie tu sobie radzi. Wspaniały chłopak.

- Dziękuję - odpowiedziała Lori z uśmiechem wdzięczności.

- Gertrude Bengtson powiedziała mi, że będziesz potrzebowała kogoś, kto by ci pomógł i kto zająłby się Dannym, kiedy będziesz w szpitalu.

- Rzeczywiście, byłabym bardzo wdzięczna, gdybyś mi kogoś poleciła.

- Miałam na myśli własną osobę - przyznała Serena ze śmiechem. - Z przyjemnością zajmę się Dannym. W tych wielkich starych domach jest czasem tak pusto. Mój wnuk jest niemal w tym samym wieku. Na pewno się ze sobą zaprzyjaźnią.

- Dziękuję ci - powiedziała Lori.

Przypomniała sobie, jaki problem stanowiło dla niej wybranie opiekunki dla Danny'ego w Nowym Jorku, ile razy radziła się znajomych, z iloma kandydatkami rozmawiała, zanim dokonała wyboru. A tu wystarczyło po prostu spojrzeć w śmiejące się oczy Sereny i sprawa była załatwiona.

- Pewna jestem, że się polubicie - dodała.

- Też tak sędzę. Czy jest jeszcze coś, w czym trzeba ci pomóc?

- Nie mam pojęcia, jak sobie radzić z tym wielkim piecem w piwnicy. Na razie jest jeszcze ciepło, ale Gertrude uprzedzała mnie, że tu wcześniej zaczynają się przymrozki.

- Nie masz się czym martwić. W zeszłym tygodniu był tu Bill Houston. Powiedział, że piec jest jak złoto. Przyślę tu Matta, żeby go rozpałił.

- Matta?

- To mój syn. Zajmuje się domem. Dobry chłopak, tylko samotny. Ale w każdym razie wszystko umie zrobić.

- Kto tu wzywa mego imienia nadaremno? - dobiegł je przez otwarte okno przyjemny, niski głos z werandy.

- Opowiadałam właśnie o tobie naszej nowej sąsiadce. - Pani Damschroeder odwróciła się w stronę okna.

- Proszę wejść - odezwała się uprzejmym tonem Lori.

- Matt, to Lori Fenton - powiedziała Serena, gdy drzwi się otworzyły.

- Dzień dobry - nowo przybyły spojrzał Lori prosto w oczy.

Matthew Damschroeder był szczupłym, lecz postawnym blondynem. Ogromna kuchnia, w której się znajdowali, zdawała się być w sam raz dla niego. Miał szare oczy, wyraziste rysy twarzy i mocno zarysowaną szczękę. Zmierzwiłone włosy sprawiały, że pomimo swoich trzydziestu lat miał w sobie coś chłopięcego. Odłożył trzymane w ręku narzędzia na stół i wyciągnął do Lori szorstką, silną dłoń.

- Serdecznie witamy w Willow Creek.

- Dziękuję.

Odwzajemniła uścisk i natychmiast cofnęła dłoń. Matt, jakby zaskoczony, zmarszczył na moment brwi i Lori uświadomiła sobie, że tu, na prowincji, uścisk dłoni ciągle jeszcze jest czymś więcej, niż tylko odruchowym konwencjonalnym gestem, wymienianym przez przypadkowych ludzi.

- Matt mieszka o dwa kroki od ciebie - podjęła Serena.

- W stodole po drugiej stronie drogi.

- W stodole? - powtórzyła zaskoczona Lori.

Oboje z Dannym zwrócili uwagę na ogromną stodołę, wznoszącą się na wprost ich domu. Niedawno musiała zostać odnowiona, ale na wiśniowym dachu widoczne były ułożone z ciemnoszarych dachówek

cyfry 1905. Najwyraźniej budowlę postawiono na początku wieku. Zwrócona do drogi wielka, starannie wymalowana tablica głosiła: „Naprawy mechaniczne. Matthew Damschroeder, dyplomowany mechanik”.

- Matt reperuje maszyny rolnicze - wyjaśniła sąsiadka.

- Kombajny, ciągniki, ciężarówki. Jego ojciec i bracia prowadzą farmę. Mieszkamy w tym domu na szczycie wzgórza.

Lori wyjrzała przez okno. Na krawędzi wzniesienia stało wielkie domostwo z malowanymi na biało ścianami, zielonymi okiennicami i wysokim czerwonym dachem. Gniazdo rodzinne Damschroederów wydawało się jeszcze większe od domu Bengtsonów.

- To jest właśnie Willow Creek. Kiedyś zatrzymywał się tu dyliżans z Columbus do Cincinnati.

- Pani Fenton będzie jeszcze miała czas, żeby się tego wszystkiego dowiedzieć - odezwał się Matt. - Ale na razie trzeba jej chyba przede wszystkim trochę spokoju, mamó. Rozpalę piec i idziemy.

Lori poczuła, że się rumieni. Krępowała ją obecność tego obcego mężczyzny, który z taką łatwością przejrzał jej starannie ukrywane zmęczenie i ból.

- Przepraszam, kochanie. Do głowy mi nie przyszło, że przecież możesz być zmęczona.

Na pulchnej twarzy Sereny pojawił się wyraz zakłopotania.

- Naprawdę nic mi nie dolega - zapewniła ją Lori.

- Jak tylko Matt rozпали piec, zaraz pójdziemy. - Pani Damschroeder natychmiast się rozpogodziła. - No, synu, bierz się do roboty.

- Już się robi, mamuśka. W mgnieniu oka będzie gotowe - zapewnił Matthew, zebrał narzędzia ze stołu i zniknął w drzwiach do piwnicy.

Jego nieobecność rzeczywiście trwała nie dłużej niż pięć minut.

- Gotowe. Termostat jest na ścianie saloniku.

- Zauważyłam wczoraj.

- Proszę się nie martwić, jeśli staruszek będzie z początku pomrukiwał, w tym wieku ma już do tego pełne prawo. Kiedy się rozgrzeje, będzie pracował na medal.

- Dobrze, nie będę się niczym przejmować.

Choć poznali się zaledwie przed chwilą, Lori poczuła się dziwnie zauroczona Mattem. Może sprawiała to jego siła i pewność siebie, z jaką poruszał się w obcym dla niej otoczeniu. Sama zawsze chciała czuć się tak swobodnie, lecz nigdy jej się to do końca nie udawało.

Ich spojrzenia spotkały się na moment, ale mężczyzna zaraz odwrócił głowę.

- No i po kłopotach - powiedział.

- Odpocznij teraz trochę - przykazała Serena. - Dede będzie uważała na twojego chłopaka i dopilnuje, żeby wszedł do właściwego autobusu.

- Dziękuję.

Lori czuła już pełne zaufanie do sąsiadki. W pracy nauczyła się oceniać ludzi na pierwszy rzut oka i wierzyła swojej intuicji. Kłopot stanowił raczej Matt. Lori umiała poznać wartość kobiet, ale wiedziała, że do końca życia będzie przeklinała fatalne skutki zaufania, jakim obdarzyła kiedyś Kevina Michaelsona.

- Chodźmy, mamó. - Damschroeder nie spojrział już drugi raz w stronę Lori.

- Pamiętaj, że masz Matta na wyciągnięcie ręki. Mieszka przy swoim warsztacie. Jest tam dzień i noc.

- Dzień i noc? Rozumiem. - Lori omal nie roześmiała się na widok marsowej miny, jaką zrobił Matt na słowa matki.

Serena uśmiechnęła się szelmowsko.

- Dzień i noc - mruknęła pod nosem. - Nawet na randki nie chodzi.

- Daj już spokój, mamó. Moje życie towarzyskie nie obchodzi pani Fenton.

- Oczywiście, oczywiście - zgodziła się dobrodusznie. - Twoje życie w najmniejszej mierze nie obchodzi pani Fenton.

A jednak w miarę upływu czasu życie Matta Damschroedera w dziwny sposób zaczęło obchodzić Lori. Im ciemniej i zimniej robiło się na świecie, tym więcej czasu spędzała z Dannym w towarzystwie swoich sąsiadów. Wszyscy Damschroederowie byli podobni do Sereny - pogodni i otwarci. Wszyscy, oprócz Matta. A jednak to właśnie on, choć trzymał się nieco z dala od Lori, zawsze znajdował czas, aby pobawić się albo porozmawiać z jej synem.

- Nie ma sprawy - powiedział, kiedy przyszła pewnego dnia po Danny'ego, który całymi godzinami przesiadywał w zamienionej na warsztat stodole. - Chłopak w tym wieku musi czasem pogadać z jakimś facetem.

Lori świetnie wiedziała, że Matt ma rację i w głębi serca była mu wdzięczna za rolę, jaką spełniał wobec chłopca. Czuła się jednak przy tym odrobinę niezręcznie.

- O czym wy właściwie rozmawiacie?

- Takie tam męskie gadki. - Matt uśmiechnął się do niej. - Nic szczególnego.

- Aha. W każdym razie chciałam ci podziękować za to, że masz dla Danny'ego czas.

- Nie ma za co. Dla mnie to też frajda pogadać sobie z kimś, kiedy tak tu siedzę.

Te słowa nie raz wracały do Lori podczas następnych tygodni. Bała się, że jeśli operacja się nie powiedzie, dziadkowie zabiorą Danny'ego i wychowają go równie źle jak własnego syna.

Za nic w świecie nie chciała, żeby Danny wyrósł na tak egoistycznego, powierzchownego i w gruncie rzeczy nieszczęśliwego człowieka jak Kevin.

Chciała raczej, żeby był taki jak Matt.

Uniosła się na łóżku i spojrzała na widoczny na tle mrocznej stodoły rozświetlony prostokąt okna w pokoju Matta. Gdyby coś jej się miało stać, chciała, żeby Danny wychował się wśród takich ludzi jak Damschroederowie. Ciepłych, serdecznych, dobrych.

Ale jak mogła mu to zapewnić? Dzień i noc szukała odpowiedzi na to pytanie. Postanowiła porozmawiać z Mattem i spytać go, czy nie zgodziłby się zostać prawnym opiekunem Danny'ego. Może się zgodzi. Tylko czy to wystarczy? Dziadkowie zatrudnią najlepszych nowojorskich adwokatów, żeby odebrać mu dziecko. Pewnej bezsennej nocy Lori przyszła do głowy myśl, która zrazu wydała jej się jeszcze bardziej szalona, ale która wraz z upływem czasu zaczęła nabierać coraz bardziej realnego kształtu. Nie będzie prosić Matta wprost, żeby zgodził się zostać formalnym opiekunem Danny'ego.

Poprosi go, żeby został jej mężem.

2

Matt dostrzegł drobną sylwetkę Lori, zmierzającą w stronę stodoły. Zanim przeszła przez szosę, zatrzymała się, a potem rozejrzała w lewo i w prawo. Choć drogą w Willow Creek rzadko kiedy przejeżdżały więcej niż trzy samochody dziennie, Lori zachowała nawyki mieszkanki wielkiego miasta.

Patrząc na ślizgającą się po ubitym, zlodowaciałym śniegu dziewczynę, Matt włączył ekspres i postawił na piecyku czajnik z wodą. Lori nie mogła pić kawy, lekarz jej tego zabronił, lubiła za to miętę, więc Matt przyniósł któregoś dnia z domu od matki kilka torebek tego zioła. Sam nie wiedział, dlaczego to właściwie robi. Kiedy Lori przychodziła po Danny'ego, nigdy nie rozmawiali długo i nie miał okazji jej poczęstować. Zresztą, jeśli o niego chodzi, to od czasu gdy rozpadło się jego małżeństwo, stracił ochotę na rozmowy z kobietami.

Otworzył drzwi, zanim zdążyła zastukać.

- Och! - wykrztusiła zaskoczona. - Cześć.

- Cześć, Lori. Widziałem cię przez okno. Chodź. Zimno dziś jak diabli.

Patrzył na nią, gdy rozwijała szal, którym opatulila głowę i szyję. Jej włosy o kasztanowym odcieniu zdawały się być miękkie i jedwabiste, w brązowych oczach migotały iskierki szczerego złota. Pomógł jej zdjąć płaszcz. Lori zmierzyła go wzrokiem, jakby pragnąc zorientować się, w jakim jest humorze.

- To przez ten wiatr. W Nowym Jorku też wieje, ale tu, na otwartej przestrzeni, wiatr przenika do szpiku kości.

- Nastawiłem wodę. Napijesz się gorącej mięty?

- Chętnie. - Popatrzyła na niego podejrzliwie. - Skąd wiesz, że piję miętę?

- Mama mi powiedziała. Nie nauczyłaś się jeszcze, że tu wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich?

Cały czas patrzyła na niego tak, jakby zaraz miała wypalić jakąś bombę, ale najwyraźniej nie mogła się zdecydować. Matt nie miał pojęcia, o co jej może chodzić, ale nie miał w zwyczaju nikogo popędzać. Milczał i patrzył na Lori, która stała obok ze splecionymi ramionami. Był od niej o głowę wyższy, gdyby zechciał, mógłby pocałować ją w czoło. Gdyby zechciał, oczywiście.

- To prawda. Ale to wcale nie jest takie kłopotliwe, jak mi się kiedyś wydawało. Wiesz, chodzi mi o to, że kiedy ludzie nie kierują się wścibstwem, tylko prawdziwą troską o innych, tak jak twoja mama, to nie ma w tym nic straszego.

Roześmiał się. Lori bardzo przylgnęła do Sereny, widać było, że musiało jej brakować matki. Zresztą, życie na wsi robiło jej świetnie pod każdym względem. Nie była już taka chuda, jak po przyjeździe. Jej ciało wypełniło się i zaokrągliło w bardzo - musiał przyznać - przyjemny sposób.

- Tak. Mama jest wspaniała - zgodził się z uśmiechem. - Chcesz cukru?

- Poproszę.

Podał jej filiżankę z miętą i sięgnął do ekspresu. Lori opuściła głowę i na jej twarz powrócił wyraz zakłopotania. Kiedy Matt nalał sobie kawy pociągnęła nosem.

- Cudownie pachnie. Mięta nie jest taka zła, ale to jednak nie to - powiedziała z żalem.

- Przepraszam. Nie powinienem jej pić przy tobie.

- Dlaczego? Masz przecież zdrowe serce, prawda?

- Prawda.

Znowu zapadło milczenie. Nie mogła się zdecydować. Pomysł, z jakim do niego przyszła, znów wydał jej się kompletnie nedorzeczny.

- Masz ochotę na ciasteczka?

- Słucham? - Tak była zatopiona w myślach, że nie usłyszała, co Matt powiedział.

- Pytałem, czy masz ochotę na ciasteczka. - Sięgnął do lodówki po mleko. - Mama upiekła ciasteczka na Walentynki.

- Rzeczywiście, to już niedługo.

- Za dwa tygodnie, licząc od poniedziałku.

Dzień przed operacją, pomyślała natychmiast. Nie może dłużej zwlekać. A jednak tak trudno było jej zacząć. Tak dobrze siedziało się w tej ciepłej, przytulnej kuchni ze starymi meblami i radiem, z którego dobiegały przeboje sprzed lat.

- Dobrze sobie radzisz na gospodarstwie.

- Mieszkam sam od dziesięciu lat. Od rozvodu.

- Aha, rozumiem.

- Mama nic ci jeszcze nie powiedziała? - zapytał, mierząc ją uważnym spojrzeniem swoich zawsze nieco pochmurnych oczu.

- Nie. Wspomniała tylko, że byłeś żonaty. Ale nie mówiła nic więcej.
- Przez półtora roku.
- Mieliście dzieci?
- Nie.

Powiedział to ze szczerym żalem. Pomimo współczucia, jakie obudził w niej ton Matta, serce Lori zabiło szybciej. Nie myliła się, uważając, że lubi dzieci. Całe szczęście!

- Czemu się rozwiedliście?

Im bardziej osobistego charakteru nabierała ich rozmowa, tym trudniej było ją ciągnąć, a jednak Lori czuła, że musi wreszcie dobrnąć do sedna.

- Naprawdę cię to interesuje?

- Tak. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Za chwilę ci wyjaśnię, o co mi chodzi, Matt. Dobrze?

Skinął głową.

- To było... nieporozumienie klimatyczne - powiedział z uśmiechem lodowatym, jak wyjący za oknem wiatr.

Moja żona pochodziła z San Antonio w Teksasie. Poznałem ją podczas służby wojskowej. Zakochaliśmy się w sobie i przyjechaliśmy tutaj. Ale to było dla niej najgorsze miejsce na świecie. Nienawidziła letnich upałów, jesiennych deszczy, zimowych mrozów i wiosennych burz. Uparła się, żeby wrócić do Teksasu. A ja uparłem się, żebyśmy zostali tutaj. Któregoś dnia zabrała swoje rzeczy i wyjechała bez słowa pożegnania.

- To przykre.

- Już nie. Minęło od tej pory tyle lat... Oboje byliśmy wtedy jeszcze dziećmi. Już dawno z tego wyrosłem.

Lori poważnie wątpiła w te ostatnie słowa.

- A jak było z tobą? - spytał, dolewając sobie kawy. Oddechnęła głęboko. Przyszła kolej na nią.

- Ja w ogóle nie wyszłam za mąż.

- Rozumiem.

- Przeszkadza ci to?

- Nie, dlaczego miałyby mi przeszkadzać? My tu, w Willow Creek, nie jesteśmy aż tak staroświeccy, jak ci się wydaje. Chociaż, oczywiście, na ogół ludzie się żenią, kiedy spodziewają się dzieci, mamy tu też samotne matki. Zwłaszcza w ciągu ostatnich lat. I nikt ich nie wygania z okolicy.

- Przepraszam. Ale to ja jestem trochę przewrażliwiona na tym punkcie.

- Opowiedz mi o ojcu Danny'ego.

- Naprawdę cię to interesuje? - powtórzyła jego własne słowa.

- Sama podjęłaś ten temat - odpowiedział i tym razem uśmiechnął się swoim zwykłym, ciepłym uśmiechem.

- Spotkaliśmy się w college'u. Ja kończyłam ekonomię, on muzykę. Był przystojny, bogaty, inteligentny. Pochodził z dobrej rodziny. I nic go nie obchodziło. Ani ja, ani dziecko.

- Wygląda na to, że był to po prostu kawał łobuza. Uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Dokładnie tak. Ale to była i moja wina. Nie umiałam odróżnić swoich marzeń od rzeczywistości.

- Mam nadzieję, że odpłaciłaś mu za to w sądzie - odezwał się, patrząc w okno.

- Nie miałam szans. Nie miał ani centa. Przez całe życie był na utrzymaniu rodziców. Ostatni raz słyszałam o nim, kiedy wyjeżdżał z jakimś zespołem rockowym do Nowej Zelandii jako gitarzysta basowy.

Matt odwrócił się w jej stronę. Jedną rękę położył na stole, druga obejmowała kubek z kawą.

- Po co mi o tym wszystkim mówisz, Lori? - zapytał takim tonem, że było jasne, iż nie oczekuje od niej niczego, prócz prawdy.

- Ponieważ przyszedłam tu, żeby złożyć ci pewną propozycję.

Poczuła, że drżą jej ręce. Bardzo uważnie odstawiła filiżankę na spodeczek.

- Propozycję? - spytał ostrożnym tonem.

- Tak. Chciałabym, żebyś potraktował to jak interes.

3

- Co takiego? - Matt był pewny, że się przesłyszał. - Czy możesz to powtórzyć?

- Nie ułatwiasz mi sprawy. - Lori nerwowo przeciągnęła ręką po włosach. - Chciałabym, żebyś się ze mną ożenił. Traktując to, oczywiście, tylko jako interes, jako rodzaj umowy między nami.

Urwała i położyła na stole splecione dłonie.

- Nie. Nie tylko jako interes. Chciałabym prosić cię o przysługę. Dla Danny'ego. I dla spokoju mojego sumienia.

- Dla spokoju twojego sumienia?

Nic nie mógł na to poradzić, ale było mu coraz bardziej głupio. Spodziewał się, że Lori poprosi go o opiekę nad Dannym i gotów był się jej podjąć. Ale małżeństwo?! Zupełnie nie mógł zrozumieć, o co jej chodzi.

- Tak, dla spokoju mojego sumienia. Za niecałe trzy tygodnie czeka mnie poważna operacja serca, mówię to na wypadek, gdybyś zapomniał.

Patrzył na nią w napięciu. Z ulgą zauważył, że uspokoiła się trochę, a jej policzki znowu się zaróżowiły. Chwała Bogu! Kiedy tak siedziała z zaciśniętymi ustami, blada jak ściana, miał chęć chwycić ją w ramiona i przytulić mocno do piersi. I niczego na świecie nie bał się bardziej, niż myśli, że mógłby to zrobić.

- Matt?

- Ale o co ci chodzi?

- Czy mógłbyś się ze mną ożenić?

- Zastanawiam się nad twoją propozycją.

- Mam nadzieję, że nie widzisz w tym nic złego.

- Chcesz wziąć ślub kościelny?

- Nie. Oczywiście, że nie.

- Ludzie będą gadać.

- Mnie to nie przeszkadza, ale rozumiem, że ty musiałbyś wyjaśnić rodzinie, o co chodzi.

- Muszę się nad tym przede wszystkim zastanowić. - Czuł, że powinien czym prędzej jej odmówić, zanim będzie za późno, a jednak nie potrafił. - Czy nie mogłabyś poprosić o opiekę dziadków Danny'ego?

- Nie! Nie oddam im syna nawet na chwilę. Chcieli mi go odebrać, gdy tylko się urodził. Próbowali prośb i grózb. Nie po to wtedy z nimi walczyłam, żeby teraz w przypadku, gdybym... Żeby wychowali go na kogoś takiego jak jego ojciec! Proszę cię, Matt. Zrób to dla niego.

Patrzył na nią i wydawało mu się, że czuje jej ból.

- Nic ci się nie stanie, Lori - powiedział niepewnie.

- Nigdy nie wiadomo. Posłuchaj, potraktujmy to jako interes.

Proponuję ci dziesięć tysięcy dolarów za ryzyko. Co ty na to?

- Nie potrzebuję twoich pieniędzy.

Popatrzyła na niego nie wiedząc, jak go przekonać. Czuła się zupełnie bezradna. Ze zdenerwowania zacisnęła palce tak, że aż jej zbieleły kostki.

- Matt, zrozum, nie mogę go tak zostawić! Jeżeli umrę...

- Nie umrzesz! - Niemal krzyknął, tak jakby nie chciał nawet dopuścić do siebie takiej możliwości.

- Matt, błagam cię, na miłość boską, ożeń się ze mną. Bez tego umrę z samego niepokoju.

Lori wyciągnęła dłoń i położyła ją na wielkiej, twardej ręce Matta. Pierwszy raz dotknęła go inaczej, niż w przelotnym geście powitania i mężczyzna poczuł, jakby przez ich zetknięte ręce przebiegł prąd.

- Łatwiej będzie mi iść na tę operację, jeśli będę wiedziała, że w razie mojej śmierci Danny trafi między po-rządnych, dobrych ludzi. Takich jak wy.

- I tak byśmy się nim zaopiekowali.

- Mówiłam ci już, Matt. Jego dziadkowie mają pieniądze, żeby wynająć najlepszych adwokatów. Nie bylibyście w stanie z nimi wygrać. Zrozum, ja sama, chociaż jestem jego matką, z trudem zdołałam go zatrzymać przy sobie. Nie wyobrażasz sobie, ile jest kruczków prawnych. To coś, z czym normalny człowiek nie jest w stanie dać sobie rady.

Podniosła na niego wzrok, tym razem już nie próbując ukryć łez.

- Nie płacz, Lori.

Matt wiedział już, że przegrał. Wyciągnął rękę i niezgrabnie pogłaskał ją po jedwabście miękkich włosach.

- Nie płacz.

- Proszę cię, Matt, ożeń się ze mną. Jesteś jedynym mężczyzną na świecie, któremu mogę powierzyć swojego syna.

Ślub wzięli na początku lutego. Do urzędu przyszli z samego rana. Jedynymi świadkami byli rodzice Matta, Serena i Ethan.

Kiedy weszli do zacisznego wnętrza ratusza, pani Damschroeder, ku zaskoczeniu Lori, podała jej pudło z kwiaciarni. Lori poczuła się zakłopotana. Wiedziała, że pozorowane małżeństwo nie jest tym, czego którakolwiek matka pragnęłaby dla syna. Tym bardziej była wdzięczna rodzicom Matta za spokój i życzliwość, z jaką przyjęli jej pomysł.

- Sereno, naprawdę nie trzeba było...

- Wiem, że nie było trzeba, ale w końcu żadna panna młoda nie powinna stać na ślubnym kobiercu z pustymi rękami. Zwłaszcza, że mamy Walentynki. To przecież najbardziej romantyczny dzień roku - dodała bez cienia ironii.

Lori rozpakowała pudło. Znajdowała się w nim wiązanka białych i różowych róż, przewiązanych złotymi wstążeczkami.

- Och - westchnęła - jakie one są piękne. Bardzo ci dziękuję.

- Pasują ci do sukienki - zauważyła Serena. Pomimo, że ich związek miał być czysto formalny, Lori

ubrała się w starannie dobraną białą suknię ze złotym paskiem i założyła złotą biżuterię. Kiedy Matt zdjął płaszcz i okazało się, że ma na sobie nieskazitelną granatową garnitur, Lori ucieszyła się, że nie zlekceważyła kwestii stroju. Przy okazji nie mogła nie zauważyć, że Damschroeder doskonale się prezentuje w swoim gustownym garniturze. Choć pozostał tym samym człowiekiem, którego znała na co dzień, była w nim zarazem zaskakująca elegancja.

Kiedy odwrócił się do niej, przez moment nie była w stanie ruszyć się z miejsca. Po raz ostatni zadała sobie pytanie, czy na pewno dobrze robi, decydując się oddać Danny'ego w ręce ludzi, których tak naprawdę w ogóle nie zna.

- Chodź, Lori - odezwał się Matt. - Chciałbym ci przedstawić panią burmistrz Burgess.

Kiedy zrobiła pierwszy krok, Matt podał jej rękę. Był taki jak zawsze, życzliwy, ciepły i silny. Ten prosty gest z jego strony pomógł Lori pokonać wątpliwości. Znowu czuła, że wybierając Matta na opiekuna

Danny'ego w razie swojej śmierci, dokonała najlepszego możliwego wyboru.

- Wszystkiego najlepszego, Lori - odezwała się pani burmistrz, patrząc na nią z życzliwą ciekawością. - Czy macie zamiar nosić obrączki?

Lori nawet przez moment o tym nie pomyślała.

- Tylko jedną - odpowiedział za nią Matt i wyciągnął z kieszeni marynarki małe aksamitne pudełeczko.

- Matt, nie trzeba było...

- Ale ja sam tego chciałem. - Otworzył pudełeczko i wyjął z niego złotą obrączkę.

Ceremonia trwała bardzo krótko, tak przynajmniej zdawało się Lori. Zanim zdążyła się we wszystkim połapać, usłyszała, że są już mężem i żoną.

- Możecie się pocałować - odezwała się z zadowoleniem burmistrz Burgess.

Lori znów poczuła się zaskoczona. Nie pomyślała o tej chwili, lub może starała się nie dopuścić do siebie myśli o niej. Kiedy Matt pochylił się nad nią, zamknęła oczy. Cały czas trzymali się za ręce, co sprawiło, że nie mógł jej wziąć w ramiona. Wolną dłoń Lori oparła na piersi Matta i przez moment mogła poczuć spokojne, pewne bicie jego serca. Gdy ją pocałował, w pierwszej chwili nie mogła się zdecydować, co zrobić, a potem lekko rozchyliła wargi. Czubeczki ich języków zetknęły się na moment i to było zaskakująco przyjemne, ale mężczyzna zaraz się wycofał.

- Wszystkiego najlepszego z okazji Walentynek, pani Damschroeder - odezwał się miękkiem głosem i uniósł głowę.

Nic nie odpowiedziała. Cofnęła się o krok i poczuła dojmujący żal, że krótki pocałunek już się skończył. Tak cudownie było stać obok Matta. Tak wspaniale było smakować jego usta. Przez chwilę żałowała, że ich ślub nie jest prawdziwy, ale zaraz przywołała wyobraźnię do porządku. To wszystko bierze się wyłącznie z lęku przed przyszłością, uznała. W żadnym wypadku nie może przecież pozwolić sobie na to, żeby zakochać się w swoim mężu.

RS

4

- Do widzenia, kochanie. Bądź grzeczny i rób wszystko, o co poprosi cię Serena.

- Dobrze, mamó. - Danny wtulił się w nią, bliski płaczu. Lori objęła go i głaskała po jasnej głowie. Sama czuła wzbierające pod powiekami łzy, ale za nic nie dałaby tego po sobie poznać. Stojący obok łóżka Matt ze wzruszeniem patrzył na tę scenę. Kobieta, którą poślubił kilka godzin wcześniej, wydawała mu się coraz bardziej godna podziwu.

- Jestem pewna, że będziesz się dobrze bawił - odezwała się Lori, lekko ochrypłym ze wzruszenia, ale pewnym głosem.

Danny skinął głową.

- Dede zabierze mnie jutro wieczorem na mecz kosza. A jeszcze następnego dnia będę mógł przyjść do ciebie na chwilę. Matt mi to obiecał.

Danny odwrócił się do mężczyzny, który potwierdził obietnicę szerokim uśmiechem.

Lori spędziła sporo czasu tłumacząc synowi przyczyny, dla których bierze ślub z Mattem. Biorąc pod uwagę, że z jednej strony nie chciała go straszyć, z drugiej zaś nie miała zamiaru ukrywać prowizorycznego charakteru związku, nie było to wcale łatwe. Na szczęście zadanie ułatwiła jej sympatia, jaką Danny odczuwał wobec Matta.

- Tylko się nie przestrasz, jeśli będę jeszcze trochę słaba.

- Wiem - odpowiedział chłopiec poważnym tonem. - Doktor Scarpelli powiedział mi, że będą z ciebie wychodziły rurki, a wokół będzie pełno różnych popiskujących maszyn.

- No właśnie.
- Nie podoba mi się to, ale nie będę się bał.
- To dobrze. A teraz zmykajcie już do domu. Jutro masz przecież

lekcje.

- Dobrze - odpowiedział Danny, nie ruszając się /, miejsca.
- No, maszeruj skarbie. Jutro będzie po wszystkim, a za tydzień

wrócę do domu.

Matt zastanawiał się przez chwilę, co ma na myśli Lori, mówiąc o domu. Czy traktuje pobyt w Willow Creek jako coś stałego? Ale jego żona opuściła głowę, by pocałować syna, więc nie mógł zobaczyć wyrazu jej oczu. Kiedy wypuściła chłopca z objęć, była blada jak płótno, a w jej oczach błyszczały łzy.

Danny zszedł z łóżka. Serena wzięła go za rękę.

- Będziemy opiekować się Dannym, Lori. Możesz na nas liczyć.

- Wiem.

- Idziesz z nami, Matt? - zapytał chłopiec.

- Tak sobie pomyślałem, że zostanę z twoją mamą, dopóki nie usnie.

- To dobrze - odpowiedział Danny. - A będziesz tu jutro?

- Tak. Zostanę w Columbus na noc, więc będę mógł przyjść do mamy z samego rana.

- To dobrze - powtórzył chłopiec. - Uważaj na nią. Cześć, mamó. Nie martw się, Matt się tobą zajmie.

- Wiem, kochanie.

- Będziemy się za ciebie modlić. - Stojąca w drzwiach Serena przepuściła pielęgniarkę, która przyniosła Lori środek usypiający i dodała cicho: - Będziemy się modlić za was oboje.

Stało się coś strasznego.

Lori czuła to od chwili, gdy po raz pierwszy otworzyła oczy, ale zanim zdążyła o cokolwiek zapytać, pielęgniarka podała jej znowu środek usypiający.

Tym razem jednak obok łóżka zauważyła tylko Matta. W jakimś zakamarku pamięci zachowała wspomnienie jego obecności podczas długich godzin, kiedy leżała półprzytomna. Gdy uniosła powieki, pochylił się nad nią.

- Co się stało? - zapytała szeptem i pomimo że ciągle jeszcze była oszołomiona lekarsstwami, przeraziło ją brzmienie własnego głosu.

- Wszystko w porządku, Lori - odpowiedział spokojnie i wziął ją za rękę. - Wszystko poszło dobrze.

- Błagam cię - tylko z najwyższym trudem była w stanie wydobyć z siebie głos.

Miała wrażenie, że lewa połowa jej twarzy jest kompletnie pozbawiona czucia. I cała lewa strona ciała.

- Co się stało?

- Operacja poszła znakomicie - odezwał się nowy głos. Lori z trudem odwróciła głowę. Po drugiej stronie łóżka stał doktor Scarpelli. Usiłowała przezwyciężyć panujący w jej głowie zamęt i zrozumieć jego słowa.

- Operacja się udała - powtórzył lekarz. - Ale twój organizm zareagował alergicznie na środki znieczulające. Taki wypadek zdarza się raz na milion. Nie sposób było tego przewidzieć. Rozumiesz mnie, Lori?

Zamknęła oczy. To, co mówił doktor Scarpelli, zaczynało tworzyć sensowną, choć przerażającą całość. Nie otwierając oczu, spróbowała skinąć głową. Ku jej uldze okazało się to możliwe. Poczwała, że ktoś ujął ją

za rękę. Nie musiała unosić powiek, by poznać ciepłe, szorstkie dłonie Matta.

- No więc, tak jak powiedziałem, operacja się powiodła. Ale twój organizm przeżył mały szok.

- Nie - Lori mimowolnie otworzyła oczy.

- Niestety tak. Ale to przejdzie, Lori. Możesz mi zaufać. Na razie masz częściowo sparaliżowaną lewą stronę ciała. Kiedy to minie, będziesz jak nowo narodzona.

- Ile to potrwa? - szepnęła, nie mając siły powstrzymać cisnących się do oczu łez.

- Około pół roku. Ale pamiętaj, nie masz się czym martwić. Mąż już wszystko przygotował, żeby zabrać cię do domu.

- Nie - powiedziała Lori. - Mówiłam ci już, że nie pojedę z tobą do domu.

Była blada i wydawała się równie wychudzona, jak w dniu, gdy przybyła do Willow Creek. Podczas rozmowy cały czas patrzyła w okno, za którym widać było park.

- Dobrze - odezwał się cierpliwie Matt. - W takim razie ja pojedę z tobą do domu.

- Nie! - odwróciła się do niego wreszcie, a w jej oczach pojawił się wojowniczy błysk. - Wynajmę pielęgniarkę.

W ciągu trzech tygodni, które upłynęły od operacji, stan Lori poprawił się trochę. Była w stanie rozmawiać, jeść, pisać, szczotkować włosy. Ale lewa noga ciągle nie reagowała na zabiegi, co skazywało kobietę na poruszanie się w wózku.

- Zrozum - poprosił spokojnym, cichym głosem. - Ostatnia rzecz, jakiej potrzebuje Danny, to nowe osoby w jego życiu. Możecie wprowadzić się do mnie, do stodoły.

- Tam jest za mało miejsca.

Lori na powrót wbiła wzrok w okno. Nad ziemią przeciągały ciężkie chmury. Padał deszcz. Zima powoli ustępowała miejsca wiosnie.

- Wobec tego wprowadzę się do was. Założymy prowizoryczną linię telefoniczną, żebyś mogła mnie wezwać, kiedy będę pracował w stodole.

- Nie, Matt. Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł.

- Jesteśmy małżeństwem - upierał się, choć sam nie był pewny, czy jego propozycja jest rozsądna.

Myśl, że mógłby być tak blisko Lori, dzień i noc, budziła w nim bardzo dziwne uczucia.

- Przestań. Proszę cię. - Spojrzała na niego brązowymi oczami, które w wychudłej twarzy wydały mu się jeszcze większe niż zwykle.

Zacisnął zęby. Lori była najbardziej upartą kobietą, jaką kiedykolwiek w życiu spotkał.

- Zawrzyjmy kompromis. Wprowadź się do mamy.

- Ja... ja nie mogę tego zrobić. Nie mogę być dla was ciężarem.

- Cześć, Lori! - rozległo się gromkie powitanie.

W drzwiach pokoju stały dwie osoby. Tęgi mężczyzna miał na sobie ciemny garnitur i trencz. Stojąca obok niego kobieta była trochę wyższa. Matt nie miał wątpliwości, że dzięki niej po raz pierwszy w życiu ma okazję podziwiać futro z norek. Oboje musieli być już po sześćdziesiątce, ale prezentowali znakomitą formę.

- Lydio! Charles! Co wy tu robicie?

- Spotkałam wczoraj na koktajlu siostrę Rachel Finkbeiner, która powiedziała mi, że jesteś w opłakanym stanie, gdzieś w Ohio. Zaraz po powrocie odszukałam tę twoją przyjaciółkę, Gertrude Bengtson, i wydusiłam z niej informację o miejscu twojego pobytu.

- Martwiliśmy się o ciebie - dorzucił Charles. -I o Danny'ego.

- Danny ma się znakomicie - włączył się do rozmowy Matt. -

Przepraszam, nie przedstawiłem się, jestem Matt Damschroeder.

- Charles Michaelson. To moja żona, Lydia.

- Przyjechaliśmy, żeby zabrać Danny'ego do domu - odezwała się Lydia rzeczowym tonem.

- Nie - zaprotestowała Lori drżącym głosem.

- Chłopak musi wreszcie zacząć żyć w normalnych warunkach. - Kobieta wydawała się oburzona protestem.

- Ciebie też weźmiemy - dorzucił, jakby na pociechę, Charles.

- Tak - potwierdziła po chwili namysłu Lydia. - Wynajmiemy ci opiekę. Pielęgniarkę. I fizykoterapeutę.

- Nie, nie - powtarzała bezradnym głosem Lori, nadaremnie usiłując podnieść się z fotela. - Mam tu bardzo dobrego terapeuta. Nie chcę...

- Lori! - Matt chwycił ją pod ramię i pomógł stanąć na nogi.

Spojrzała na niego z wdzięcznością.

- Nie wrócimy z wami do Nowego Jorku.

- To dla twojego dobra - nalegała Lydia.

- Dziękuję za propozycję, ale Lori i Danny zostaną z moją matką - powiedział Matt i teraz dopiero uświadomił sobie, jak bardzo zależy mu na tym, żeby rzeczywiście tak się stało.

- Co takiego?!

- Cieszymy się, że Lori zyskała tu sobie przyjaciół. - Charles Michaelson dyplomatycznie wołał przejąć inicjatywę w rozmowie. - Bardzo się z tego cieszymy. To dobra dziewczyna. Ale my jesteśmy jej jedyną rodziną.

Matt poczuł, że Lori drży. Nie miał wątpliwości, że nie jest to tylko sprawa wysiłku. Dziewczyna śmiertelnie bała się dziadków Danny'ego.

- Nie jesteście już państwo ich jedyną rodziną - odpowiedział spokojnym, ale twardym i nie pozostawiającym miejsca na żadne wątpliwości tonem. - Mają jeszcze mnie. Danny jest moim przybranym synem, a Lori moją żoną.

RS

5

Kwiecień jest najpiękniejszą porą roku, pomyślała Lori, kiedy szarości i ciemne brązy przedwiośnia ustąpiły miejsca zieleni świeżych liści i błękitowi pogodnego nieba. Pogoda była zmienna jak jej nastroje. Ze wszystkich stron dobiegał niski warkot ciągników, nad jej głową śpiewały ptaki. Uświadomiła sobie, że w Nowym Jorku nigdy nie zdarzyło jej się wypatrywać na niebie deszczowych chmur przed wyjściem na spacer, słuchać śpiewu ptaków i szumu drzew.

Od tygodnia dzień w dzień przemierzała drogę między domem Damschroederów a ich skrzynką na listy, obok której wysiadał ze szkolnego autobusu Danny. Postanowiła, że kiedy przebycie tego dystansu przestanie jej sprawiać trudność, przeniesie się z powrotem do siebie. Nie chciała nadużywać gościnności swoich gospodarzy, choć musiała przyznać, że trudno byłoby jej poradzić sobie bez ich opieki bezpośrednio po wyjściu ze szpitala.

Schodząc w dół, Lori widziała zatrzymujący się naprzeciw stodoły autobus. Kiedy Danny z niego wyskoczył, po drugiej stronie szosy wyszedł przez szeroko otwarte wrota stodoły Matt, wycierając ręce w czerwoną ścierkę. Chłopiec pomachał kolegom, a kiedy autobus odjechał, przebiegł jezdnię, zatrzymał się przed skrzynką na listy i schylił po leżący na ziemi pakunek.

- Co słyhać? - usłyszała głos Matta.

- Myślisz, że to może być ten model wahadłowca „Columbia”, który obiecała mi babcia, Matt? - Danny rzucił okiem na napis i zaczął niecierpliwie rozpakowywać paczkę. - Tak, to „Columbia”. Ale klawo!

Odwrócił się w stronę Lori, która dotarła tymczasem do krawędzi szosy.

- Babcia przysłała mi „Columbię”!

- Będziesz musiał napisać list z podziękowaniami, Danny - powiedziała, z trudem zdobywając się na uśmiech. - Najlepiej od razu, dzisiaj.

- Wolałbym zadzwonić.

Lori nie chciała rozstrzygać tej sprawy. Od czasu, kiedy Charles i Lydia wyjechali wreszcie z Ohio, nieustannie dzwonili do wnuka. Serena była zdania, że to dobrze, że chłopak powinien mieć jak najlepszy kontakt z dziadkami. Lori starała się w to uwierzyć, ale nie potrafiła.

- Pomożesz mi go złożyć, Matt?

- Jak skończysz lekcje.

- Matt!

- Powiedziałem, że najpierw musisz odrobić lekcje i tak będzie.

Najpierw obowiązki, potem zabawa, Danny. - Matt ruszył w stronę Lori. - Ale przede wszystkim trzeba odprowadzić mamę do domu. Na pewno zmęczyła się, schodząc do nas.

- Nie jestem zmęczona - zaprotestowała natychmiast Lori.

- Gdzie masz laskę? - zapytał zaskoczony Danny, kiedy podbiegł, aby się z nią przywitać.

- Nie potrzebuję jej, żeby przejść taki kawałek.

Syn uściskał ją mocno i pobiegł przodem w stronę do niej. Jednym ramieniem przytrzymał na wpół rozwinięte pudło z prezentem od babci, z drugiego zwieszał się plecak z książkami szkolnymi.

- Pamiętasz, co mówił doktor Scarpelli? - zapyta Matt, biorąc ją pod rękę.

- Myślałam, że się ucieszysz, widząc mnie bez tej cholерnej laski.

Nie potrafiła opanować złości. Nie umiała się przyzwycząić do takiego bliskiego kontaktu z Mattem, do tego, że trzymał ją pod rękę, że czuła niemal ciepło jego ciała. A poza tym zaczynała ją irytować jego opiekuńczość. Chciała być już zdrowa, a tymczasem on sprawiał, że czuła się chwilami jak dziecko.

- Im prędzej wrócimy na swoje śmieci, tym lepiej dla wszystkich - dorzuciła.

- To tylko zabawka, Lori.

Czuła na sobie uważne spojrzenie jego szarych oczu i umyślnie trzymała wzrok wbity w ziemię. Wydawało jej się, że umiała ukryć przed nim irytację, jaką wzbudził w niej prezent od Lydii. Niestety, pomyliła się. Jak przy wielu innych okazjach, Matt okazał się bardziej spostrzegawczy, niżby sobie życzyła.

- Nie mogę się uwolnić od uczucia, że chodzi tu o coś więcej - przyznała niechętnie.

- Przesadzasz.

- Skąd wiesz? Widziałeś Michaelsonów tylko przez kilka godzin, ja ich znam od lat.

- I od lat panicznie się ich boisz.

- Nie ty pierwszy mi to mówisz - odpowiedziała z ociąganiem. - Ale to nie zmienia faktów. Kiedy urodził się Danny, miałam dwadzieścia trzy lata, nie miałam własnej rodziny ani męża i centa przy duszy. Nigdy mi nie pomogli. Chcieli tylko zabrać Danny'ego. A jego ojciec nawet palcem

nie ruszył w mojej obronie. Nie mówiąc o tym, że nie chciał nawet zobaczyć własnego syna. Jak sądzisz, czy rodzice, którzy wychowali takiego łajdaka, mogą być porządnymi ludźmi?

Czasem tak się zdarza, że najporządniejsi ludzie pod słońcem mają okropne dzieci. Czy nigdy się nie bałaś, że ciebie może kiedyś spotkać to samo?

Nie! - odpowiedziała gwałtownie. - Nigdy nie pozwolę, żeby mój syn był taki.

- Głowę dam, że Charles i Lydia też tak pewnie sobie nieraz mówili, patrząc na cudze błędy. Naprawdę, Lori, to nie tak łatwo wychować dzieci. Nie można pochopnie oceniać ludzi.

- Może masz rację. Może to poczciwcy i tylko przez przypadek mają takiego syna, ale to w niczym nie zwiększa mojego do nich zaufania.

Byli już prawie na miejscu. Lori drżała ze zdenerwowania i zmęczenia.

- Nie pozwól, żeby rządziła tobą przeszłość.

- To nie jest przeszłość. Trzy tygodnie temu przyjechali tu w tym samym celu. Żeby zabrać Danny'ego. - Nie miała ochoty rozmawiać dłużej na ten temat, nie chciała patrzeć na całą sprawę z innego niż własny punktu widzenia. - Przepraszam cię, Matt, ale to w końcu nie twoja sprawa, jak układają się stosunki Danny'ego z dziadkami.

- Rozumiem. Nie masz ochoty od nikogo usłyszeć prawdy. Nawet od swojego męża.

Zatrzymali się przed drzwiami. Lori uwolniła rękę i nagle poczuła żal. Tak dobrze było móc wspierać się na mocnym ramieniu Matta.

- Nie jesteś moim prawdziwym mężem - powiedziała łagodnie, starając się nie urazić go tymi słowami.

- A ty nie jesteś inteligentną, wrażliwą na los własnego dziecka kobietą, za jaką cię uważałem - odparł tonem, w którym można było wyczuć prawdziwy żal.

Nie dodając nic więcej, odwrócił się na pięcie i ruszył z powrotem w dół.

- Jak ci idzie, Danny, z tymi marchewkami? - Serena odwróciła się znad zlewu. - Wiem, że masz ich strasznie dużo, ale będą mi potrzebne do potrawy.

Tego dnia wieczorem miała się spotkać na kolacji cała ogromna rodzina Damschroederów.

- Jeszcze tylko dwie i skończone - odpowiedział z dumą chłopiec i pokazał na miskę pełną obranych marchwi. -A jak ty sobie radzisz z ziemniakami, mamó?

Lori siedziała z kolei nad górą kartofli.

- Też już prawie skończyłam. Czy myślałeś kiedykolwiek, że będziemy przygotowywać ucztę dla tylu osób, Danny?

- Nie - chłopiec zachichotał. - To tak, jakbyśmy byli kucharzami w restauracji. Chciałbym mieć taką wysoką czapkę, jak mają prawdziwi kucharze.

- Ja też.

- Kiedyś marzyłam o tym, żeby prowadzić restaurację - odezwała się Serena. - Dawno temu w tym domu był zajazd. Mówiłam wam już chyba. Zatrzymywał się tu dyliżans w drodze z Columbus do Cincinnati.

- Matt mi o tym mówił.

Tyle rzeczy jej opowiedział o Damschroederach i o Willow Creek, kiedy siedział przy niej przez pierwsze, najgorsze dni po operacji. Część z tego zapamiętała, części nie. Przede wszystkim jednak pamiętała spokojny, ciepły głos, jakim relacjonował dramatyczne i śmieszne wydarzenia z przeszłości. Lori, która nie miała pojęcia, kim byli jej dziadkowie, zawsze z przyjemnością słuchała tych opowieści.

- Jest tu sześć sypialni. No, to już sami mogliście zauważyć. Teraz, kiedy mieszkam tylko z Ethanem i Dede...

- I z nami - wtrącił Danny.

- I z wami - poprawiła się z uśmiechem Serena -... zrobiło się okropnie pusto. Myślę czasem, żeby znieść ze strychu meble, które odziedziczyliśmy po rodzicach Ethana, i na które kiedyś brakowało miejsca, odmalować dom, położyć tapety i urządzić tu niewielki motel.

- Czemu tego nie zrobisz? - zapytała Lori, wrzucając do miski ostatniego ziemniaka.

- Brak mi czasu. I pieniędzy. A poza tym, choć ja osobiście uważam Willow Creek za najpiękniejsze miejsce na świecie, to wiem, że naprawdę nie ma tu takich atrakcji, jakie zwykle przyciągają turystów. A z Columbus do Cincinnati jedzie się dziś samochodem godzinę. Ale przyjemnie jest sobie czasem pomarzyć.

- To prawda - przyznała Lori.

Ona sama nigdy nie myślała o prowadzeniu własnego interesu. Zawsze widziała swoją przyszłość u „Cartera, Finkbeinera i Straussa” albo w jakiejś podobnej firmie. Wśród chłodnych, rzeczowych ludzi interesu. Zastanawiała się czasem, do czego może dojść w życiu na tej drodze. Może zostanie kiedyś, po latach pracy, członkiem zarządu? Ale co z tego?

Co będzie z tego miała, oprócz pieniędzy? Ani chwili czasu na własne sprawy i kompletną pustkę wokół siebie od chwili, gdy Danny dorośnie i opuści dom.

Gdzieś daleko rozległ się grzmot. Nadciągała wiosenna burza.

- Mam nadzieję, że Matt i Ethan skończą pracę, zanim lunie - odezwała się Serena, wyglądając przez okno.

W ogromnej kuchni pociemniało. Słońce skryło się za chmurami. Tym razem grzmot rozległ się znacznie bliżej. Pani Damschroeder zaczęła zsuwać na patelnię posiekaną cebulę.

- O rany! - ucieszył się Danny. - Coraz bliżej.

- Mój Boże - zatroskała się Serena. - Zostawiłam pranie na sznurku.

Wszystko znowu zmoknie albo, co gorsza, wiatr rozniesie bieliznę po całym podwórzu.

- Ja pozbieram.

Lori podniosła się z krzesła. Przez chwilę stała wsparta o stolik, żeby przyzwyczać się do pionowej pozycji, a potem ruszyła w kierunku drzwi. Poza niewielkimi trudnościami w chodzeniu i kłopotami z mówieniem w chwilach, gdy była zdenerwowana, zupełnie przyszła do siebie.

- Dziękuję ci. - Serena odgarnęła wierzchem dłoni niesforne włosy, które opadały jej na oczy. - Poszłabym sama, ale nie mogę się teraz oderwać od kuchni.

- Nie ma sprawy - odpowiedziała Lori z uśmiechem. Prawdę mówiąc, była już trochę zmęczona kuchennymi zajęciami i miała wielką chęć wyjść na powietrze. Choć czuła, że pociąga ją myśl o prowadzeniu własnego interesu, to na pewno nie w taki sposób, jak Serenę. Gotowanie, sprzątanie, troszczenie się o gości - nie miała na to najmniejszej ochoty.

Rzuciła okiem na stojącą obok drzwi laskę, ale postanowiła obyć się bez niej.

Błysnęło i tym razem huk rozległ się tuż nad jej głową. Nigdy w życiu nie znalazła się na dworze w takiej chwili jak teraz, na moment przed rozpętnaniem się burzy. Przyśpieszyła kroku. Z podwórza widać było cały świat, tak przynajmniej zdawało się wychowanej wśród ciasnych ulic miasta Lori. Pokryte oziminą pola Damschroederów ciągnęły się po łagodnej pochyłości aż do błyszczącej w dole rzeki. Dalej widać było skąpane w słonecznym blasku uprawy ich bliższych i dalszych sąsiadów. Z drugiej strony nadciągały nabrzmiałe deszczem szarogranatowe chmury.

Dwa ciągniki dojechały do krańca pola. Jeden zawrócił w kierunku domu, drugi zaczął kolejny rząd, tym razem chyba na samej granicy pola. Ethan i Matt kończyli sianie kukurydzy. Lori zebrała właśnie do kosza ostatnie ręczniki i prześcieradła, gdy spadły pierwsze, ciężkie krople deszczu.

Już miała ruszyć przez podwórze do domu, gdy zauważyła, że ogromne wrota stodoły są zamknięte. Odstawiła kosz i podeszła, żeby je otworzyć. Choć skrzydła wrót wydawały się masywne i ciężkie, poszło to łatwiej, niż przypuszczała. Widząc nadjeżdżający ciągnik, postanowiła zaczekać na jego kierowcę. Ethan wjechał do ogromnego wnętrza stodoły i zgasił silnik. Teraz było słychać tylko szum wiatru i krople deszczu, bębniące o blaszany dach.

- Matt zaraz skończy - odezwał się Ethan, zsiadając z ciągnika. - No, jakoś daliśmy radę.

- Zrobiliście kawał dobrej roboty - stwierdziła Lori z uśmiechem. Spojrzała na spiętrzone ciemnogrnatowe chmury, przesuwane się po niebie.

- Wygląda na to, że zaraz będzie lało jak z cebra.

- Owszem - przytaknął Ethan. - Chcesz zmykać do domu?

- Zaraz. Czy wiesz, że mam trzydzieści dwa lata i jeszcze nigdy w życiu nie stałam tak na dworze, patrząc na burzę?

- Naprawdę? - Pan Damschroeder miał uśmiech równie ciepły jak jego syn. - Trzeba to było kiedyś zrobić. W końcu chyba nawet w Nowym Jorku macie czasem burzę.

Roześmiała się.

- Oczywiście, ale tam, gdzie się żyje, na dole, między niebotycznymi ścianami z betonu i szkła, burza wygląda zupełnie inaczej niż tutaj. Tu wydaje się prawdziwa. Patrząc na nią, zaczyna się rozumieć, co to są żywioły.

- To prawda. Żeby pojąć, co to jest burza, trzeba widzieć, jak szaleje nad takim szmatem ziemi jak tutaj. My z matką czasem siadamy na werandzie i patrzymy na to, co się tu wokół nas dzieje, jak na teatr. Jeśli masz ochotę, też możesz tak zrobić.

- Zaraz przyjdę. O Boże, zapomniałam kompletnie o koszu z bielizną. Został na środku podwórza.

- Nie martw się, zaraz go zabiorę. - Ethan ruszył w stronę domu, kręcąc głową. - Jeszcze z ciebie będą ludzie, dziewczyno - mruknął pod nosem, ale te ostatnie słowa zagłuszyło bębnienie deszczu i warkot drugiego ciągnika.

Kiedy Matt zgasił silnik, z nieba leciały już strugi wody. Dopiero teraz Lori uświadomiła sobie, że ulewa uwięziła ich w stodole. Zanim doszłaby do domu na swoich niepewnych nogach, byłaby kompletnie mokra. A Ethanowi i Serenie byłoby przykro, gdyby widzieli, że ucieka przed ich synem.

Deszcz zacinał, więc cofnęła się trochę głębiej. Pomyślała, że właściwie Mattowi należą się przeprosiny za wczorajsze zachowanie. Miał rację, była przewrażliwiona i histerycznie reagowała na obecność Charlesa i Lydii. Powinna się do tego przyznać.

Poza tym należało porozmawiać o rozwiązaniu małżeństwa. Niebezpieczeństwo minęło i przyszła pora, żeby każde z nich odzyskało wolność i udało się w swoją stronę. A przynajmniej ona i Danny.

- No, zrobione! - zawołał Matt, zeskakując z ciągnika.

Wysoko podwinięte rękawy od koszuli odsłaniały mocne, opalone ręce. Kapelusz osłaniał mu ogorzałą twarz, ale nawet w panującym w stodole półmroku, widać było jego szeroki uśmiech.

- Zasialiśmy. Teraz może sobie lać choćby do rana.

- Moje gratulacje. - Lori nie potrafiła powstrzymać uśmiechu. - Wygraliście wyścig z burzą. Jaka będzie nagroda? - zażartowała.

- Tu zupełnie nie chodzi o nagrodę - odpowiedział Matt nieoczekiwanie poważnym tonem. - Uprawa ziemi to nie zawody z nagrodami. Takie rzeczy robi się wyłącznie dla siebie. Teraz możemy powiedzieć: Tacy jesteśmy! My, Damschroederowie.

- Wiem.

- Wiesz?

Podszedł do niej wielkimi krokami. Stał teraz tuż obok. Jego oczy były ciemnoszare jak pędzące po niebie chmury.

- Wiem. Wiem, czym jest uczucie zadowolenia z dobrze wykonanej pracy. Inna sprawa, że wszystko co robię, to rachunki na papierze. Trudno powiedzieć, jaki mają właściwie związek z rzeczywistością. Nigdy jeszcze nie zdarzyło mi się zмагаć się z samą Matką Naturą.

- Przez całe życie walczysz o cele, których nie da się ani dotknąć, ani nawet zobaczyć. Papiery, które przez moment są ważne, a gdy tylko spełnią swoją rolę, tracą wszelkie znaczenie. - Matt mówił cichym, zamyślonym głosem. - Biedna Lori. Tyle jest na tym świecie rzeczy ważniejszych niż pieniądze i sukcesy.

Przyciągnął ją do siebie i złożył na czole opiekuńczy, ojcowski pocałunek. Ledwo musnął jej skórę wargami, a jednak Lori poczuła, jakby sparzył ją żywym ogniem.

Gdzieś blisko huknął piorun. Nagły łoskot sprawił, że drgnęła, przerażona. Matt przygarnął ją mocno do piersi. Zaskoczona, wstrzymała oddech. Poczowała, że kręci jej się w głowie. Nie wiedziała, co się dzieje. W ciągu ostatnich tygodni tyle razy zdarzało się, że Matt prowadził ją pod rękę lub pomagał jej wstawać i siadać. Nigdy jednak nie dotykał jej w taki sposób. Nie jak delikatny, uważny opiekun, lecz jak mężczyzna, który pragnie kobiety. Nad ich głowami przetoczył się kolejny grzmot, po którym ze zdwojoną siłą rozległa się kanonada deszczu. Zrobiło się ciemno, przez ścianę wody ledwo było widać dom.

- To niewiarygodne - szepnęła Lori. - Nigdy w życiu...

- Ani ja - przerwał jej Matt i pocałował w usta.

Ten pocałunek był zupełnie inny. Kiedy brali ślub, całował ją łagodnie, niczego od niej nie żądając. Teraz było w jego pocałunku pragnienie, wręcz głód. Lori bez oporu skapitulowała przed jego zaborczym językiem. Pocałunek wydarł z niej westchnienie. Od lat nikt jej już nie całował. Nikt nigdy nie całował jej tak jak Matt. Tak jakby była najbardziej upragnioną kobietą na świecie. Tak jakby nie sposób było nasycić się jej ustami. Jakby nie czekając na nic, chciał ją posiadać w tej wielkiej, mrocznej stodole.

- Nie, Matt! Nie! - Szepnęła, kiedy tylko oderwał na moment wargi od jej ust.

Jeszcze przed dwoma minutami powtarzała sobie słowa, którymi zamierzała prosić go o rozwód, a teraz nie umiała myśleć o niczym innym, niż pocałunki i uścisk jego ramion. Jak by to było, zadawała sobie pytanie, być naprawdę, a nie tylko formalnie, żoną Matta? Oparła mu ręce na piersi i odepchnęła go lekko.

- Proszę cię, przestań. Nie możemy tego robić. Uniósł dłonie i ujął nimi delikatnie twarz Lori.

- Dlaczego nie? Ja nie widzę w tym nic niestosownego.

Nie umiała odgadnąć, jaki wyraz mają jego oczy, ledwie widoczne w półmroku. Choć stał bez ruchu i wydawał się spokojny, czuła pod ręką szybkie bicie jego serca.

- Dawno już nie całowałem żadnej kobiety, ale nie tak dawno, żebym nie potrafił poznać, czy ta kobieta mnie pragnie, czy nie.

- To by tylko wszystko pogmatwało.

- Dlaczego? Jesteśmy małżeństwem.

- Tylko formalnie.

- Możemy zostać naprawdę.

Przez chwilę nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Nie - powiedziała wreszcie bezradnie.

Jak ma mu uświadomić, że pochodzą z dwóch zupełnie różnych światów? Nawet gdyby potrafiła uwierzyć, że miłość Matta zrodzona jest nie tylko z poczucia odpowiedzialności, nie umiałaby przecież tu żyć. Pasuje do Willow Creek nie lepiej od jego pierwszej żony. I ich związek skończyłby się tak samo jak tamten. A oni oboje wynieśli z tego tylko ból i gorycz. Nie mówiąc już o Dannym.

- Nie, Matt - powtórzyła. - Nasze małżeństwo to czysto formalny związek. Nie udałoby się nam wprowadzić go w życie.

- Czemu nie mielibyśmy spróbować?

- Nic by z tego nie wyszło. - Spojrzała mu w oczy.

- Nie jestem stąd. Nie pasuję tu. Chcę wrócić do domu, do Nowego Jorku.

- Będziesz bliżej dziadków Danny'ego. Wzięła głęboki oddech.

- Wiem. Poradzę sobie z tym.

- Rozumiem. - Rozplótł ramiona i cofnął się o krok.

- Doktor Scarpelli powiedział, że możesz już wracać?

- Nie. Ale chcę z nim jutro porozmawiać. Nie mogę... nie mogę tu dłużej zostać.

Nie spodziewała się, że tak trudno będzie jej to powiedzieć. Nie sądziła, że tak zimno jej się zrobi, gdy Matt wypuści ją z objęć.

Damschroeder zacisnął zęby i wcisnął ręce w kieszenie džinsów. Jego oczy stały się zimne i obce.

- Nie będę ci stawał na drodze. Jak tylko doktor potwierdzi, że możesz jechać, zaczniemy załatwiać rozwód. O to ci chodziło?

Opuściła wzrok i spojrzała na złotą obrączkę, którą nosiła od Walentynek. Nagle zrobiło się jej niewymownie smutno. Gdyby powtórzył, że pragnie, by z nim została, zgodziłaby się. Czekala. Ale Matt nie ponowił prośby.

- Tak. Tego chcę - powiedziała w końcu.

- Wobec tego zajmij się rozwodem - odpowiedział. - Przestało padać. Odprowadzić cię do domu?

- Dojdę sama.

- To dobrze. Mam jeszcze robotę.

Odwrócił się i zniknął w mrocznym wnętrzu, nie dodając ani słowa więcej. Lori patrzyła za nim i poczuła się tak, jakby miało jej pęknąć serce.

6

- Jak to? Przez sześć tygodni muszę jeszcze zostać w Ohio? - Lori złożyła ręce, żeby doktor Scarpelli nie zauważył ich drżenia. - Dlaczego?

- Nie mogę wypuścić cię wcześniej z czystym sumieniem. Masz za sobą bardzo ciężką chorobę. To nie jest coś, co mija z dnia na dzień.

- Przecież możesz oddać mnie pod opiekę Gertrude.

- Już się z nią porozumiałem. - Doktor mówił cicho i spokojnie, ale ton jego głosu nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do tego, że starannie przemyślał każde słowo. - Gertrude jest zdania, że przedwczesny powrót do Nowego Jorku i do trybu życia, jaki prowadziłaś przed wyjazdem, może cię naprawdę drogo kosztować.

- Co masz na myśli?

Sześć tygodni. Nie mogła pozwolić sobie na to, by przez kolejnych sześć tygodni żyć obok Matta. Od czasu, gdy całowali się podczas burzy w stodole, zdawała sobie sprawę z tego, jak niewiele jej brakuje, żeby się w nim zakochać. A do tego nie wolno jej było dopuścić, bo oznaczałoby to katastrofę dla nich obojga.

- Następstwa szoku.

- Czy możesz powiedzieć mi dokładnie, o co chodzi?

- Chodzi o to, że możesz mieć przez resztę życia kłopoty z mówieniem. Szybko się męczysz, Lori. Masz trudności z koncentracją. Grozi ci także, że do końca życia będziesz potrzebowała laski. Sama sobie zdajesz sprawę, że z tym wszystkim trudno byłoby ci wrócić do pracy u „Finkbeinera, Cartera i Straussa”.

Lori wyprostowała się na krześle. Niech to diabli, pomyślała, on ma rację. Idąc do pracy, musi być uważna, szybka, zdolna do wielogodzinnego skupienia. Bez tego nie ma po co wracać. Nie raz miała okazję współczuć ludziom, którzy nie radzili sobie z obowiązkami i musieli szukać czegoś innego, ale nie było na to rady. Takie są w tym zawodzie reguły gry.

- Chcę wrócić do Nowego Jorku - powtórzyła bezradnie.

Doktor Scarpelli splótł palce i oparł brodę na wyprostowanych kciukach. Przez długą chwilę mierzył Lori uważnym spojrzeniem.

- Biorąc pod uwagę, że przedstawiłem ci istniejące zagrożenia i że uważam cię za osobę dostatecznie inteligentną, żeby je uwzględnić i zrobić wszystko, co się da w celu ich zmniejszenia, skłonny jestem skrócić ten okres do trzech tygodni. Potem się spotkamy i wtedy podejmę decyzję. Ale to wszystko, co mogę zrobić.

- Jeżeli tak, to nie zostaje mi nic innego, niż się zgodzić. Dziękuję i do widzenia.

Doktor Scarpelli odprowadził ją do drzwi.

- Na wsi czas szybko płynie, Lori. Zawsze dzieje się coś ciekawego. Wiem o tym, bo sam wyrosłem na farmie w Pensylwanii. Odpocznij. Spaceruj. Ciesz się życiem. Zobaczysz, zanim się spostrzeżesz, przyjdzie pora, żeby wracać do Nowego Jorku.

- Mam nadzieję - odpowiedziała, bardziej sobie, niż jemu.

- Matt?

- Tu jestem. - Matt wyszedł zza wielkiego kombajnu, który naprawiał dla Arta Yodera. - Szybko wróciłaś.

Tego dnia, po raz pierwszy od operacji, to nie Matt, lecz jego siostra zawiozła Lori do szpitala w Columbus. Od momentu, gdy całowali się w stodole, zamienili ze sobą nie więcej niż kilka słów.

- Masz chwilę czasu, żeby porozmawiać? - spytała, unikając jego spojrzenia.

- Tak. - Matt wytarł ręce w ścierkę i wsunął dłonie w kieszenie dżinsów. - Jak było na fizykoterapii?

- Świetnie. Czuję się jak nowo narodzona.

- A co powiedział doktor Scarpelli?

- Z tym trochę gorzej. Choć jest ze mnie zadowolony, twierdzi, że jeszcze za wcześnie na powrót do Nowego Jorku. Uważa, że powinnam tu zostać jeszcze co najmniej przez trzy tygodnie.

- Domyślam się, że nie to chciałaś od niego usłyszeć.

- Nie. Ja... ja nie wiem, co mam teraz zrobić. Nie mogę wiecznie być dla was ciężarem.

- Ty i Danny nie jesteście dla nas żadnym ciężarem. Mama i tata naprawdę cieszą się, że was mają. Zresztą, jesteś chyba dostatecznie bystra, żeby to zauważyć.

Przez moment miała nadzieję, że Matt wspomni coś o sobie, ale nie dodał już ani słowa.

- Miło mi, że tak mówisz - odezwała się wreszcie, starając się ukryć zawód. - Ale i tak chciałabym przenieść się do domu Bengtsonów, gdy tylko będzie to możliwe.

- Rozumiem - odparł równie grzecznie i chłodno jak ona.

- I mam zamiar zadzwonić do adwokata. Im prędzej będziemy to mieli z głowy...

- Mogłabyś zaczekać z tym parę dni.

Serce zabiło jej mocniej. Czyżby Matt zamierzał ją jednak poprosić, żeby... Przez mgnienie oka wyobraziła sobie, jak wyglądałoby ich życie, gdyby została. Cudownie byłoby żyć z takim mężczyzną...

- Przyjeżdżają dziadkowie Danny'ego - przerwał jej marzenia chłodny głos Matta.

- Skąd wiesz? Od paru tygodni w ogóle się nie odzywali.

- Widocznie w końcu się za wami stęsknili - odpowiedział obojętnie.

- Zadzwonili zaraz po twoim wyjeździe do miasta. Będą tu jutro po południu.

- Już jutro?

- Mama zaproponowała im, żeby się zatrzymali u nas.

- O Boże! - Lori poczuła, że brak jej tchu. - Dlaczego?

- Rozmawialiśmy już o tym kilka razy. To nie są źli ludzie - powiedział cicho.

Jakoś zdołała zapanować nad paniką. Czowała, że odzyskała już siły na tyle, by poradzić sobie z Lydią i Charlesem.

- Wiem. Tłumaczyłeś mi to nie raz. I w głębi serca musiałam ci przyznać rację. Po prostu nie jest łatwo uwolnić się od starych lęków.

- Trudno mi w to uwierzyć - uśmiechnął się Matt.

- W ciągu ośmiu lat życia Dannego bardzo się zmieniłam, ale ilekroć spotykam jego dziadków, staję się na powrót tą samą bezradną i wystraszoną dwudziestotrzylatką.

- Oni też są starsi, niż byli wtedy. I pewnie mądrzejsi. Daj im szansę, Lori.

- Serena sprawiła, że nie mam innego wyjścia.

Uśmiechnęła się, żeby przekonać Matta, iż nie ma pretensji do jego matki. Trudno byłoby zresztą spodziewać się po Serenie innego zachowania. Gościnność i życzliwość były jej równie nieodłącznymi atrybutami, jak pulchne różowe policzki i wesoły śmiech.

- Mama uważa, że nie ma to jak rodzina. I wnuki. Danny jest ich jedynym wnukiem, prawda?

- Tak.

- Dzieci stanowią potężny magnes.

- Chciałbyś mieć dzieci, Matt?

Nie przyszło jej do głowy, że wkracza na obszar ściśle osobistych spraw, po prostu była ciekawa.

- Tak - odpowiedział, patrząc w ziemię. - Chciałbym. A ty?

- Ja... ja jeszcze nie wiem. Bardzo trudno jest wychowywać dziecko samemu.

- Nie jesteś już przecież sama - powiedział i zrobił krok w jej stronę.

- To prawda - odpowiedziała, udając, że nie rozumie znaczenia jego słów. - Mam przyjaciół, ludzi, którzy są mi bardzo życzliwi. Takich jak twoi rodzice.

- Nie chodzi mi o rodziców - mówił niskim, miękkim głosem, od którego Lori przebiegły ciarki po grzbiecie.

- Wiem - szepnęła. - Nie powinnam zadawać tego pytania. To nie było w porządku wobec żadnego z nas.

- Moglibyśmy być czymś więcej, niż tylko przyjaciółmi.

Matt nie zrobił następnego kroku w jej stronę, a jednak Lori miała wrażenie, że jego barczysta sylwetka zasłania jej nagle cały świat.

- Ja... nie wiem.

Pochylił się, by ją pocałować. Lori z całych sił starała się zapanować nad szalonym biciem serca, wmawiając sobie zarazem, że nic się między nimi nie zmieniło, że żyją w dwóch odrębnych światach i nawet jeśli Matt o tym na chwilę zapomniał, to jej obowiązkiem jest mu o tym przypomnieć. Dla jego własnego dobra.

- To do niczego dobrego nie doprowadzi.

- Owszem, już nas prowadzi. - Zbliżył usta i przytrzymał dłonią głowę Lori, nie pozwalając jej uciec przed pocałunkiem. - Sama wiesz, że coś między nami jest.

Najwyższym wysiłkiem woli zmusiła się, by nie odpowiedzieć na jego pocałunek. Poczowała, że pod powiekami zbierają jej się gorące, piekące łzy. Zamrugnęła oczami i potoczyły się po policzkach.

- Co się stało, Lori?

- Mylisz troskę i poczucie odpowiedzialności z czymś zupełnie innym, Matt. Nie potrzebuję litości... - Głos jej się załamał, ale zapanowała nad nim i dokończyła: - Nie pozwolę ci popełnić tego błędu.

- Niczego nie myślę, do cholery! - odparł szorstko. - A litość jest ostatnim uczuciem, jakie we mnie budzisz. Zaraz sama się o tym przekonasz.

- Nie. - Oparła obie dłonie na jego piersi w obronnym geście. - Nie pozwolę, żebyś powiedział coś, czego miałbyś później żałować. Żadne z nas nie może sobie pozwolić na to, żeby mylić wdzięczność z miłością.

- Czy to wszystko, co do mnie czujesz? Wdzięczność?

- Tak, Matt. Bardzo mi przykro z tego powodu.

Było to kłamstwo w żywe oczy, a jednak Lori czuła, że nie ma innego wyjścia. Choćby dlatego, że potrzebowała i pragnęła Matta Damschroedera z całego serca, jak jeszcze nikogo i nigdy w życiu.

- Nie wierzę ci - powiedział, ale puścił ją.

Poczuła nagły chłód w miejscu, gdzie jeszcze przed momentem spoczywała jego ręka. Chłód samotności.

- Nigdy nie kłamię - odpowiedziała.

Spojrzała mu prosto w oczy. Miała wrażenie, że widzi w nich wyraz bezgranicznej rozpacz.

- Nigdy tego nie robię, Matt.

RS

7

Maj, jeszcze piękniejszy od kwietnia, zdawał się Lori porą istnych czarów. Rośliny wprost wytryskiwały z ziemi, wzrastając i kwitnąc w ciągu paru dni. Któregoś dnia kotka wyniosła ze stodoły swe małe kocięta. Teraz leżała dumna na słońcu i obserwowała baraszkujące w trawie dzieci. Z wylęgarni przywieziono skrzynię pełną maleńkich żółtych kurcząt. Karmienie piskliwej gromadki przypadło w udziale Danny'emu.

Lori nigdy jeszcze nie widziała, żeby jej syn tak się przejął jakimś obowiązkiem. Danny czuwał nad piskletami, zmieniał im wodę i sypał pokarm, dodając do niego witaminy z precyzją, jakiej nie powstydziliby się uczony w najprawdziwszym laboratorium. Po powrocie ze szkoły wyprowadzał swoje stadko na podwórze, w bezpiecznej odległości od psów i kotów, aby paść je na rojących się w trawie owadach. Zachowywał się tak, jakby od urodzenia żył na farmie. Cieszył się każdą chwilą swoich zajęć. A co najdziwniejsze, jego najlepszymi pomocnikami byli Lydia i Charles.

Dziadkowie chłopca mieszkali u Damschroederów od blisko tygodnia. I, ku zaskoczeniu Lori, znajdowali się w bardzo zażyłych stosunkach z domownikami. Początkowo, na wieść o ich przyjeździe, Lori chciała uciec do domu Bengtsonów, ale Serena przekonała ją, że musi kiedyś wreszcie stawić czoło temu, czego nie da się zmienić. A Danny, dodała, zasługuje sobie na to, żeby pomieszkać trochę z dziadkami.

- Nie wyobrażam sobie niczego gorszego, niż to, że nie mogłabym spotykać swoich wnuków - odezwała się pewnego razu, zagniatając chleb.
- Serce pękłoby mi z żalu, gdyby zniknęły z mojego życia.

- Matt tak mi właśnie o tym powiedział.

- To sprytny chłopak - powiedziała z matczyną dumą Serena. - A właściwie mężczyzna.

- Że też ojciec Danny'ego musiał się okazać takim łajdakiem - westchnęła Lori. - Przynajmniej ja go za takiego uważam. Nie sądzisz, że musi być w tym trochę winy Charlesa i Lydii?

Serena machnęła ręką.

- To nic nie znaczy. Być dziadkami, to coś zupełnie innego, niż być rodzicami - powiedziała i jak to miała w zwyczaju, wyjrzała przez okno. - Uwierz mi, sama wiele się musiałam nauczyć. Ale, na szczęście, na naukę nigdy nie jest za późno.

- Myślisz, że to przysłowie mówi prawdę?

- Tak.

- Próbowali mi odebrać Danny'ego, kiedy się urodził, wiesz o tym. Nigdy w życiu nie bałam się tak jak wtedy. Kiedy zrozumieli, że im się to nie uda, próbowali go ode mnie kupić.

- Myślę, że też musieli być nieźle wystraszeni.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Sama zaproponowałam Mattowi pieniądze za małżeństwo, prawda?

- W głosie Sereny nie było potępienia ani pretensji.

- Tak. Byłam... byłam w przymusowej sytuacji.

- Dokładnie to miałam na myśli. Sądzę, że Charles i Lydia także czuli, że są w przymusowej sytuacji. Nie masz pojęcia, co się czuje wobec wnuków. Człowiek ma dużo lepszą świadomość popełnionych w młodości błędów i chciałby im tego oszczędzić. To tak, jakby się patrzyło na

wszystkie swoje pomyłki przez powiększające szkło. Myślę, że dziadkowie Danny'ego bali się ciebie nie mniej niż ty ich.

- Może masz rację - zgodziła się Lori.

- Pamiętaj o tym, że kierowanie się głosem serca nie zawsze przynosi dobre rezultaty. Wiele złego robimy w najlepszych intencjach. Spójrz na Lydię. - Serena pociągnęła Lori do okna, za którym widać było pochyloną nad grządkami kobietę. - Radzi sobie w ogrodzie tak dobrze, jakby urodziła się na wsi. Tylko pomyśl. Nigdy w życiu nie miała własnego kawałka ziemi. Nie umiem sobie wyobrazić, że mogłabym mieszkać w mieście, gdzieś wysoko nad ziemią, w ciasnej klatce z betonu.

- Charles i Lydia mają wspaniały dom z ogrodem, w pięknym, malowniczym miejscu na wybrzeżu.

Lori nie mogła się powstrzymać przed cierpką uwagą. To ona z Dannym mieszkała w ciasnej klatce z betonu.

- To nie to samo.

- Być może.

- Dlaczego nie miałabyś pomóc Lydii przy pielenu?

- Sama nie wiem...

- Nigdy nie będziesz miała lepszej okazji, żeby ją bliżej poznać.

Wspólna praca bardzo zbliża ludzi. Daj jej szansę, Lori. Jeśli nawet nie ze względu na siebie, to na Danny'ego.

- Pomóc ci?

Lori przykucnęła obok Lydii. Pomimo wszystko nie czuła się przy niej na tyle swobodnie, żeby pokazać po sobie, że nie czuje się jeszcze całkiem dobrze. Nie wzięła ze sobą laski, a teraz przestraszyła się, że na miękkim gruncie mogłaby stracić równowagę i upaść.

- Może pomogłabyś mi podwiązywać pomidory? Serena mówi, że trzeba to zrobić przed burzą.

Lydia miała na sobie białą bawełnianą bluzkę i ciemne spodnie, które, choć przybrudzone ziemią, zachowały elegancki wygląd. Kiedyś Lori sama takie nosiła. Dziś miała na sobie džinsy i podkoszulek z krótkimi rękawami, a włosy przewiązała zwykłą kolorową wstążką.

- Dobry pomysł. - Spojrzała w niebo. - Rzeczywiście, wygląda na to, że będzie burza. To się czuje w powietrzu.

- Naprawdę umiesz to wyczuć? Ja nigdy tego nie potrafiłam, ale kiedy człowiek żyje tak blisko ziemi, to pewnie może się tego nauczyć. Tak cudownie jest pracować w ogrodzie, chodzić po lesie i nad brzegiem rzeki. Jeść te wszystkie wspaniałości, które gotuje Serena, bujać się w wiklinowym fotelu na werandzie i patrzeć na zachód słońca. Nigdy w życiu nie miałam równie cudownych wakacji. - Odgarnęła wierzchem dłoni włosy, spadające jej na oczy. - Ale ja z kolei czuję, że, tak naprawdę, nie przyszłaś tu po to, żeby rozmawiać ze mną o pomidorach i pogodzie.

- Zgadłaś. - Lori wzięła głęboki oddech. - Przyszłam do ciebie, żeby porozmawiać o Dannym.

- To cudowny chłopak. Oboje, Charles i ja, jesteśmy dumni z tego, jak go wychowujesz.

- Dziękuję - odpowiedziała Lori, niepewna, jak właściwie ma skwitować te nieoczekiwane słowa uznania.

- Przykro mi z powodu kłótni i nieporozumień, jakie kiedyś miały między nami miejsce. - Lydia sprawiała wrażenie, jakby mówiła rzeczy, które już od dawna leżały jej na sercu.

- Chciałabym móc cofnąć wskazówki zegara i zacząć wszystko jeszcze raz. W głębi serca zawsze zdawaliśmy sobie z Charlesem sprawę z tego, że Kevin nie postępuje uczciwie, ale trudno było się nam do tego przyznać. W końcu to my jesteśmy odpowiedzialni za to, że jest taki, a nie inny.

- Nie możecie odpowiadać za postępowanie dorosłego mężczyzny, Lydio.

- Charles też mi to mówi, ale nie wierzę, żeby jakakolwiek matka na świecie potrafiła patrzeć obojętnie na to, co robi jej syn. Niezależnie od tego, ile ma lat. Przykro mi z tego powodu, ale początkowo wydawało mi się, że gdyby Danny był z nami, to mogłabym naprawić te wszystkie błędy, które popełniłam, wychowując Kevina. Potem...

- Lydia opuściła wzrok i przez moment zastanawiała się nad dalszymi słowami. - Potem po prostu chciałam go mieć koło siebie. Błagam cię, wybacz mi, Lori. Naprawdę nie chciałam cię tak zranić.

- Nie ma o czym mówić. Ja sama nigdy się nie zastanawiałam nad potrzebami Danny'ego. Nigdy nie dałam mu okazji, żeby nauczył się, czym jest rodzina. Myślę, że zadałam wam równie wiele bólu, jak wy mnie.

- Mam nadzieję, że któregoś dnia zostaniemy jeszcze przyjaciółkami.

- Ciemne okulary skrywały oczy Lydii, ale ton jej głosu wyraźnie świadczył, że jest przejęta.

- Ja też mam taką nadzieję.

- Szkoda tylko, że właśnie teraz zamieszkacie w Ohio, prawie tysiąc kilometrów od Nowego Jorku.

- Nie będziemy tu mieszkać. Mam zamiar wrócić do Nowego Jorku, gdy tylko doktor Scarpelli się na to zgodzi. - Lori starała się znaleźć właściwe słowa na opisanie sytuacji. - Matt i ja jesteśmy małżeństwem tylko formalnie. Lada dzień mamy zamiar się rozwieść.

- Naprawdę? Wyszłaś za Matta tylko po to, żeby utrzymać Danny'ego z dala od nas? - Lydia była tak zdumiona, że aż przerwała pracę.

- Tak. Bardzo się o niego bałam i wydawało mi się, że gdyby coś się ze mną stało, to nie ma dla niego lepszego miejsca niż Willow Creek.

- Ale Matt... - Lydia nie dokończyła myśli. - Przykro mi, że zadałaś sobie aż tyle trudu, żeby uchronić Danny'ego przed nami.

- Mnie też - odpowiedziała Lori. - Nawet bardziej niż myślisz.

Burza przyszła późnym popołudniem i to dużo poważniejsza, niż można się było spodziewać. Radio i telewizja powtarzały ostrzeżenia przed tornadem. Ethan i Matthew siedzieli na zmianę na werandzie, obserwując niebo. Wszyscy inni zostali w kuchni, gotowi w każdej chwili uciekać w razie zagrożenia do piwnicy.

Wichura szarpała drzewa wokół domu i ciskała o ziemię połamanymi gałęziami. Charles stał w drzwiach i patrzył na deszcz. Danny grał z babcią w warcaby, ale Lydia nie mogła się skupić na grze. Ilekroć rozlegał się grzmot, podskakiwała niespokojnie na krześle.

- Babciu - śmiał się chłopiec - nie skacz tak, bo strącisz warcaby ze stołu. To przecież zwykła burza.

- To najgorsza burza, jaką w życiu widziałam. W Nowym Jorku nigdy takich nie ma.

- Może zobaczymy tornado? Bardzo bym chciał! -oświadczył Danny entuzjastycznie.

- Gdyby do tego doszło, twoi podopieczni mogliby stracić trochę piórek.

Zastanowił się przez chwilę.

- I tak byłoby wspaniale. Miałbym o czym opowiadać chłopakom po powrocie do Nowego Jorku. Żaden z nich nie widział jeszcze tornada.

- Wydaje mi się, że lepiej będzie, jeśli zejdziemy do piwnicy - powiedział Ethan, wchodząc do kuchni.

- O Boże! - jęknęła Serena. - Nie chcesz chyba powiedzieć, że to tornado. Dede nie wróciła dotąd ze szkoły.

- To jeszcze nie tornado, ale i tak zapowiada się niezły bal.

- Szybko, do piwnicy! - krzyknął Matt, wbiegając do kuchni.

Było już za późno. W pokoju pociemniało, jakby nagle zapadła noc. Wichura z wściekłym rykiem runęła na dom. Lori patrzyła zdumiona na młody klon na podwórzu - wiatr przygiął go aż do ziemi. Matt ledwo zdołał zamknąć za sobą drzwi, gdy kolejny podmuch poderwał dach na stodołę. Łoskot spadających belek sprawił, że dom zatrzęsł się w posadach. Ogromny dach zapadł się, jakby był z papieru.

Wszyscy siedzieli na krzesłach jak zaczarowani. Zanim ktokolwiek ruszył się z miejsca, Matt rzucił się do drzwi.

- Trzeba wyłączyć prąd! - krzyknął, wybiegając z domu. - Niech nikt nie wychodzi.

- Boże wielki! - jęknęła Serena, idąc za nim w stronę drzwi.

- Nie idź tam, matko - powstrzymał ją Ethan. - To niebezpieczne.

- Ale stodoła! Siano! A jeżeli wybuchnie pożar?

- Matt się tym zajmie.

- A co z maszynami?

- Wszystko da się zastąpić. Najważniejsze, że nikomu nic się nie stało.

Wichura oddaliła się równie szybko, jak nadeszła, unosząc ze sobą grzmoty i błyskawice. Wszyscy zgromadzili się na werandzie, ze zgrozą patrząc na zrujnowaną stodołę. Choć ulewa się nie zmniejszyła, Matt nie wracał.

- Ja wcale nie chciałem tak bardzo tego tornada - odezwał się Danny takim tonem, jakby czuł się wszystkiemu winny.

- Oczywiście, że nie chciałeś, kochanie. To czysty zbieg okoliczności. A poza tym słyszałeś, co powiedział Ethan: to nie było prawdziwe tornado.

- Ale powiedziałem, że chciałbym zobaczyć tornado i wtedy wszystko się zaczęło. Dach nad stodołą się zawalił. A Matt nie wraca.

Lori od dobrej chwili myślała o tym samym. Nie miała pojęcia, co mogło się stać z Mattem. Na myśl przyszło jej wszystko to, czego mu do tej pory nie powiedziała. A co, jeżeli... ?

- Nic się nie martw. Został w stodole, żeby nie zlał go deszcz. On już wie, co robi.

- A co będzie, jeżeli wiatr się znowu zerwie i dach do reszty się zawali?

- Nie bój się. - Charles pogłaskał Danny'ego po głowie. - Matt nie siedziałby w stodole, gdyby tam było niebezpiecznie. Co byś powiedział na to, żebyśmy zobaczyli, jak się mają twoje kurczęta?

Danny skinął głową.

- Dobrze, dziadku. Jeśli mówisz, że Mattowi nic się nie stało, to dobrze.

- Dziękuję ci, Charles - odezwała się Lori, wdzięczna, że dziadek zajął się wnukiem, odciągając jego uwagę od rozciągającego się na podwórzu niebezpiecznego rumowiska.

- Słuchajcie! Syrena straży pożarnej. Chwała Bogu, że przyjechali. Serena i Charles wyszli na podwórze, reszta podążyła za nimi.

Czerwona ciężarówka strażacka, poprzedzana przez policyjny samochód, zjeżdżała już z szosy na drogę do gospodarstwa Damschroederów. Z drugiej strony nadjeżdżał spychaczem najbliższy sąsiad, Art Yoder.

- Zawiadomiliśmy elektrownię, żeby wyłączyła prąd, dopóki nie uprzątniemy tego bałaganu - zawołała pani burmistrz, wyskakując z samochodu.

Wśród ruin stodoły rozległ się warkot jeszcze jednego silnika i spomiędzy połamanych belek wyjechał prowadzony przez Matta kombajn. Dach nad kabiną kierowcy był pogięty, a w oknach nie było szyb, ale silnik pracował i maszyna jechała o własnych siłach.

Matt odprowadził kombajn na bok i zeskoczył na ziemię. Nagle pod Lori ugięły się kolana. Dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, jak bardzo się o niego bała. Kiedy spojrzała na połamane belki, rozsypane dachówki i sterczące spośród tego wszystkiego przewody elektryczne, serce skoczyło jej do gardła. A gdyby zginął? Nigdy już nie miałaby okazji, żeby powiedzieć mu, że... że go kocha? Nagle uświadomiła sobie, że tak właśnie jest. Kocha Matta. I nie jest w stanie nic na to poradzić.

- Niech to diabli, tato - odezwał się Matt, podchodząc do nich. - Oba ciągniki pójda na złom. Reszta na ogół wygląda dobrze, ale będziemy mieli sporo roboty z wyciągnięciem tego wszystkiego spod gruzów.

- Nic się nie martw. Damy radę. - Damschroeder poklepał syna po ramieniu. - Gorzej już bywało, a poza tym jesteśmy ubezpieczeni. Całe szczęście, że nic ci się nie stało. Nie wracaj do środka, dopóki nie odciągniemy na bok resztek dachu.

- Kombajn i tak trzeba było wyprowadzić, żeby móc wziąć się za resztę. Rozejrzałem się tam trochę. Na szczęście główne słupy mocno się trzymają.

Ethan z zadowoleniem skinął głową.

- Tak powinno być. To robota mojego pradziada. Słupy są z orzecha. Ta stodoła miała służyć pokoleniom.

- I jeszcze posłuży. Trzeba będzie tylko położyć nowy dach.

- Nic ci się nie stało? - wołała do Matta Serena zmierzająca szybkim krokiem przez podwórze. - Tak się bałam, kiedy pobiegłeś do stodoły. Cały czas mi się wydawało, że zaraz się na ciebie zawali.

- Nie ta stodoła, mamó. - Matt spojrzał na ojca. - Ona jeszcze moje dzieci przeżyje.

- Ja w każdym razie czuję się o dziesięć lat starsza po tej wichurze.

- Lori? - Matt jakby dopiero teraz ją zauważył. - Wszystko w porządku?

- Wszystko w porządku - odpowiedziała, nie zdradzając ani słowem odkrycia, którego dokonała przed chwilą.

Na wszelki wypadek jednak nie patrzyła Mattowi w oczy. Bała się, że wszystko z nich wyczyta.

- Ależ to był wiatr!

- To prawda. Lori...

- Tak?

Tuż obok nich ktoś wzywał wywrotkę przez CB radio. Na podwórze wjechały kolejne samochody, pełne sąsiadów i przyjaciół.

- Ja... już nic - Matt potrząsnął głową, dookoła było za dużo ludzi, żeby mogli spokojnie porozmawiać.

- Jak ja nakarmię tych wszystkich ludzi, nie mając nawet prądu? - zatroskała się Serena.

- Dasz sobie radę. Znam cię. - Ethan objął żonę ramieniem. - Zresztą, wygląda na to, że nie braknie ci pomocy.

Z kolejnego samochodu wysiadło kilka kobiet z koszykami i termosami.

- Matt! Ethan! Chodźcie no tutaj! - Rozległ się głos Art'a Yodera. - Gdzie będziemy wywalać gruz?

- A niech to licho! Nie myślałem jeszcze o tym. - Ethan rozejrzał się po podwórzu. - Najlepiej chyba będzie, jeśli rzucicie to tutaj, pod ścianą.

- Nie szarżuj - odezwał się Matt do Lori, ruszając w stronę pracujących mężczyzn.

Czy tylko tyle chciał jej powiedzieć? Czy miał na myśli coś więcej? Odkąd uświadomiła sobie, że go kocha, każde jego słowo, każdy gest zdawał się nabierać nowych, nieoczekiwanych znaczeń. Zadawała sobie pytanie, co oznacza wyraz troski w jego szarych oczach. Czy myślał o niej i Dannym? Czy też trapiła go teraz tylko stodoła? No, oczywiście, jak mogła sobie wyobrażać, że jest inaczej. Na pewno chodzi mu tylko o stodołę, uświadomiła sobie i poczuła nagłe ukłucie w sercu.

- Będę uważać - obiecała, myśląc tylko o tym, że musi ukryć nowo odkryte uczucie tak, by nigdy nie domyślił się jego istnienia. - Nie będę szarżować.

Oczywiście, znowu kłamała.

RS

8

Było już dobrze po północy. Ostatni pomocnicy wyjechali z farmy Damschroederów i dom pogrążył się we śnie. Dzięki wspólnemu wysiłkowi udało się uprzątnąć szczątki dachu, przenieść do ocalałej części stodoły siano i wydobyć spod rumowiska ciągniki.

Lori pracowała razem z Sereną, Lydią i innymi kobietami, przyrządzając jedzenie i picie. Gotowały na gazowej kuchence. Ktoś wpadł na pomysł rozpalenia grilla, na którym można było piec kielbaski. Wszyscy odetchnęli z ulgą, kiedy tuż przed zapadnięciem zmierzchu udało się ostatecznie zabezpieczyć instalację elektryczną, dzięki czemu można było włączyć prąd. Nikt nie miał ochoty zmywać wielkiej sterty naczyń, które z powodzeniem można było umyć w elektrycznej zmywarce.

Kiedy już wszyscy poszli spać, Lori zeszła z powrotem do kuchni. Nie mogła zasnąć. Bolała ją noga, a głowę miała pełną niespokojnych myśli. Postanowiła napić się mięty i przemyśleć wszystko, zanim ułoży się do snu.

Kiedy już usiadła z kubkiem w ręku przy stole, usłyszała, że ktoś otwiera drzwi do domu. Nocny gość nie stanowił powodu do niepokoju, choć wprawiał ją w zakłopotanie. Domyśliła się od razu, że to Matt, który najwyraźniej też nie mógł spać i zauważył światło. Odwróciła się do niego i z trudem przywołała na twarz zmęczony uśmiech.

Nie odwzajemnił go.

- Co ty tu robisz o tej porze? - zapytał, nim zdążyła mu zadać to samo pytanie.

Miał mokre włosy, jakby niedawno wyszedł spod prysznica. Lori poczuła nieoczekiwaną chęć, żeby dotknąć wilgotnych kędziorów. Spod niedopiętej pod szyją koszuli wyłaniał się opalony męski tors, pokryty zmierzwionymi włosami. Był tak blisko, że Lori czuła zapach jego wody kolońskiej. Miała ochotę przytulić się do niego i całować jego ogorzałą twarz, szyję, piersi.

- Piję miętę. - Uniosła kubek, zastanawiając się, czy wyczuł w jej głosie ten pożar zmysłów, jaki w niej obudził. - Woda jest jeszcze gorąca. Nalać ci?

- Nie. - Matt miał szorstki, ochryply, ze zmęczenia lub może ze zdenerwowania, głos. - Zobaczyłem światło i zaciekało mnie, kto o tej porze jeszcze nie śpi.

- Wszyscy już śpią.

- A ty? - zapytał i podszedł do stołu.

- Chyba jestem za bardzo zmęczona, żeby zasnąć - przyznała.

Oczy mężczyzny zrobiły się ciemne jak chmury, które niedawno pędziły nad nimi po burzliwym niebie.

- Mówiłem ci, żebyś nie szarżowała - powiedział surowym tonem.

- Nie szarżowałam. Wszyscy wokoło, twoi rodzice, sąsiadki, nawet Charles i Lydia, pracowali dużo ciężiej ode mnie. A przecież większość z nich jest dwa razy starsza.

- Ale nikt z nich nie wywinął się przed trzema miesiącami śmierci spod kosa - powiedział, stając tuż nad nią.

Lori nie miała wyjścia. Pomimo że nogi miała jak z gumy, musiała wstać, żeby stawić mu czoło i dowieść, że nic jej nie jest.

- To było trzy miesiące temu, Matt. Nic mi już nie dolega - powiedziała, choć czuła się tak źle, że musiała się oprzeć o stół.

- Akurat. Gdybyś nie opierała się o stół, padłabyś tu plackiem.

- Nieprawda - chciała zaprotestować, ale okazało się, że ledwo jest w stanie odezwać się półgłosem.

Kiedy chwycił ją w ramiona, poczuła się tak, jakby ją trafił piorun. Na wpół sparalizowana, zmieszana i przerażona. Zdała sobie sprawę, że myśl o tym, by ukryć przed Mattem swoje uczucia, była kompletnym szaleństwem. Kochała go. Kochała go tak, jak nie kochała nikogo przedtem i jak nie będzie już kochała nikogo w całym swoim życiu. Nie potrafiła oderwać od niego oczu, choć nie umiała w nich nic wyczytać.

Matt nachylił się ku jej ustom. Lori zaplotła mu ręce na szyi. Poczowała pod palcami mokre, jedwabiście miękkie włosy, których tak chciała dotknąć. Oddawała gorące, namiętne pocałunki, pozwalając, by serce wzięło górę nad rozsądkiem, nie zważając na karę, jaką będzie musiała za to ponieść.

Pocałunki Matta stały się gwałtowniejsze, głębsze i Lori z westchnieniem żalu musiała wrócić do rzeczywistości.

- Proszę cię, przestań - szepnęła, z trudem łapiąc oddech.

Nienawidziła się za to, że nie umiała zapanować nad swoimi pragnieniami. Za to, że tak wyraźnie dała mu je poznać.

- Dlaczego? - zapytał z uśmiechem. - Przecież jesteśmy małżeństwem.

- Prosiłam cię. Nie mów tak. Nie powinniśmy nigdy sugerować nikomu, że nasze małżeństwo to coś więcej niż czysta fikcja. I przede wszystkim my sami nie powinniśmy nigdy w to uwierzyć. Przepraszam

cię, Matt. Tak mi przykro. Tak mi przykro - powtórzyła, walcząc ze łzami zmęczenia, bólu i bezgranicznej rozpacz.

- A mnie wcale nie jest przykro.

- Matt, naprawdę nie musisz starać się być dla mnie dobry. Wiem, że to może być dla ciebie trudne. Wszyscy twoi przyjaciele... Znajomi twoich rodziców. Te kobiety o wszystko się dzisiaj wypytywały. Wiem, że to było z życzliwości, ale i tak nie potrafię... - głos jej się załamał.

W ciągu ostatnich kilku miesięcy żyła w maleńkim świecie marzeń. Jej znajomi byli daleko. Nikt jej o nic nie pytał. Teraz dopiero zdała sobie sprawę z tego, w jak trudnej sytuacji postawiła Matta przez swoją propozycję. Wiedziała, że poczucie przyzwoitości każe mu z ich fikcyjnego małżeństwa uczynić rzeczywistość.

- Do diabła z sąsiadami - mruknął, przyciągając ją znowu do siebie.

- Ale pomyśl o swojej opinii. Roześmiał się.

- Skoro już mamy wrócić do wiktoriańskiej moralności, to przede wszystkim powinniśmy chyba pomyśleć o twojej.

- Nikt z moich znajomych nie wie, że wyszłam za męża. Nikt, oprócz Michaelsonów. Dziś rano powiedziałam zresztą Lydii całą prawdę, tak że z ich strony nie ma już żadnego nacisku.

- Nacisku? Jakiego nacisku?

- Nasze małżeństwo jest fikcją, Matt. Nie ma powodu, żebyś traktował je inaczej tylko dlatego, że ludzie dookoła ciebie sądzą, że to autentyczny związek.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że poszłabyś ze mną do łóżka, gdybyśmy nie byli małżeństwem? A ponieważ jesteśmy, nie możesz tego

zrobić? - Choć w głosie Matta można było wyczuć nutkę rozbawienia, jego oczy pozostawały poważne.

Oczywiście, Lori chodziło o co innego, ale uznała, że jeśli tylko w ten sposób zdoła ukryć przed nim prawdę, to nie ma powodu, żeby robić sobie wyrzuty.

- Tak.

- To jest twój warunek?

Zawahala się.

- Tak.

Matt milczał przez chwilę, jakby czekał, że Lori coś doda. Nie zrobiła tego. Nie pozostało jej już nic innego, niż powiedzieć „kocham cię”. A tych słów nie wydobyłaby z siebie za żadne skarby świata.

- Nie zaprzeczasz, że coś między nami jest?

- Nie - odpowiedziała ze smutkiem. - Nie mogłabym temu zaprzeczyć.

- Ja też nie.

Gdyby Lori była w stanie słuchać Matta naprawdę uważnie, mogłaby wyczuć w jego głosie smutek, który był echem jej własnego.

- A czy nie mogłabyś raz spróbować przestać być Lori Fenton, trzeźwą pracowniczką nowojorskiego biura maklerskiego, stać się po prostu moją żoną, i kochać mnie tak, jak byś tego naprawdę chciała?

- A co będzie jutro? - zapytała w chwili, gdy usta mężczyzny nakryły jej usta. Matt chciał się z nią kochać, ale nie powiedział, że ją kocha.

Powinna to sobie zapamiętać, bo tylko to może ją uchronić przed bólem, któremu będzie musiała rano stawić czoło. Ale w głębi serca wiedziała, że jest już za późno na ratunek.

- A niech się dzieje, co chce!

Lori zadała sobie pytanie, czy rzeczywiście może raz w życiu zapomnieć o tym, co czeka ją jutro i cieszyć się tą jedną szaloną nocą.

- Dobrze - powiedziała wreszcie, rozdarta pomiędzy szczęście i niepokój. - Niech się dzieje, co chce.

Nie mówiąc ani słowa więcej, porwał ją na ręce i poniósł do nie używanego saloniku. Nie zapalił światła. Delikatnie złożył Lori na wymoszczonej miękkimi poduchami kanapie i ułożył się obok.

- Tyle razy myślałem o tym, jak cudownie byłoby się kochać na tej kanapie - zachichotał i serce Lori opuściły wątpliwości.

To był właśnie Matt, mężczyzna, który zaprzyjaźnił się z jej synem, który czuwał przy jej łóżku w chorobie, który opiekował się nią podczas długiej rehabilitacji. To twój mąż, szeptało jej serce. Twój prawdziwy mąż.

- Z obojętnie jaką kobietą? - spytała.

- Kiedy byłem nastolatkiem - tak uważałem. Potem stałem się bardziej wymagający. A ostatnio myślałem tylko o tobie.

Drżącymi palcami rozpiął guziki jej szlafroka i nocnej koszuli. Fala chłodnego powietrza ostudziła ciało Lori i przywróciła jej przytomność.

- Nie jestem marzeniem, Matt. Jestem kobietą z krwi i kości.

Chciała powiedzieć coś jeszcze, ale usta męża przywarły do jej nagich piersi i trzeźwa, rozsądna Lori kompletnie straciła głowę. Jej miejsce zajęła zupełnie inna kobieta. Namiętna, gorąca, spragniona pieśczoć i miłości. Szalona, zmysłowa istota, która nie pragnęła już niczego innego, niż kochać i być kochaną przez mężczyznę, leżącego u jej boku.

- Nie jestem wcale pewny, czy jesteś rzeczywista - westchnął Matt. - Ale jeżeli śnię, to przysięgam na Boga, nie chciałbym się już nigdy przebudzić z tego snu.

- Będziemy musieli oboje się przebudzić - odpowiedziała ze smutkiem. - I to całkiem niedługo.

- Cśśś, Lori. Stanowczo za dużo mówisz - mruknął i zamknął jej usta pocałunkiem.

Od tej chwili żadne z nich nie przemówiło już ani słowa. Jedynymi dźwiękami, jakie dobiegały z kanapy, były miłosne jęki i westchnienia rozkoszy. Świadomość, że w tym samym domu śpią rodzice Matta i jego siostra, jej własny syn i jego dziadkowie, wszystko to przestało się dla Lori liczyć. Ważny był już tylko Matt, jego dotyk, zapach i smak.

Matt patrzył na pogrążoną we śnie Lori. Niebo zaróżowiło się już na wschodzie, księżyc przybladł. Wiedział, że nikt nie powinien znaleźć ich tu, w salonie, leżących razem na kanapie. Przyszła pora, kiedy powinien iść do siebie i poważnie zastanowić się nad konsekwencjami dzisiejszej nocy. Choć, prawdę mówiąc, pozostawienie Lori było najtrudniejszą rzeczą, jaką mógł sobie teraz wyobrazić.

Wstał z kanapy i zaczął się ubierać. Potrzeba im było czasu, żeby zrozumieć naturę namiętności, która połączyła ich tej nocy, czasu, żeby zastanowić się nad przyszłością. Wspólną przyszłością. Kłopot polegał tylko na tym, że w ciągu najbliższych dni w domu będzie stanowczo za dużo ludzi, żeby można było spokojnie porozmawiać, a on za bardzo się bał obudzić teraz Lori i zapytać ją po prostu, czy go kocha. Wiedział, że gdyby powiedziała mu, że nie, że tylko jest mu wdzięczna za pomoc i opiekę, ale i tak ma zamiar wrócić jak najszybciej do Nowego Jorku, jego

serce, choć zdrowe i silne, pękłoby na tysiąc kawałeczków, jakby było ze szkła.

I inaczej, niż to było w przypadku jej serca, nie pomógłby mu już żaden lekarz ani żadna operacja.

RS

9

- Lori!

- Tak? - spytała, odwracając się od kredensu, do którego chowała właśnie talerze.

Sama była zaskoczona tym, jak spokojnie brzmi jej głos. Po raz pierwszy w ciągu dnia byli sami. Normalnie przez cały czas wypełniali dom przyjaciele i sąsiedzi Damschroederów. Lori cieszyła się z tego w głębi serca, bo tak naprawdę to nie miała odwagi, żeby stawić czoło Mattowi. Była zdecydowana opuścić Willow Creek. Wiedziała, że nie może dłużej tego ciągnąć.

- Czy to, co powiedziała mi Lydia, jest prawdą? Naprawdę wracacie jutro wszyscy do Nowego Jorku?

Serce podskoczyło jej do gardła. Mogła się przecież spodziewać, że Michaelsonowie nie będą trzymać języka za zębami. Nie mieli ku temu żadnego powodu i trudno byłoby ich o to winić.

- Wiedziałas o tym, mamó? - zapytał, trzema wielkimi krokami przemierzył kuchnię i zatrzasnął drzwi.

- Mama nic o tym nie wie - odpowiedziała mu Lori.

Nie starczyło jej odwagi, żeby powiedzieć Serenie o swoich planach. Byłoby to niemal równie trudne, jak przyznać się do wszystkiego Mattowi.

- Wiem - odezwała się z ciężkim westchnieniem pani Damschroeder i wsparła się o stół. - Lydia mi powiedziała. Jest tym bardzo zmartwiona. Powiedziała, że nie chciałaś jej niczego wyjaśnić, ale że uparłaś się wracać natychmiast do Nowego Jorku. Nie rozumiem tego pośpiechu, Lori. Sama

czekałam na okazję, żeby z tobą o tym porozmawiać. Chociaż... może rzeczywiście nie ma co z tym dłużej zwlekać...

- Chwileczkę, mamó - odezwał się Matt głuchym głosem. - Zostaw nas samych, chciałbym jeszcze porozmawiać z moją żoną.

- Nie idź, Sereno - poprosiła Lori.

Zdawała sobie sprawę, że to tchórzostwo, ale nie umiała się zdobyć na to, żeby zostać sam na sam z Mattem. Nie była pewna, czy potrafiłaby wtedy wygłosić do końca przemówienie, które od rana już ze sto razy powtórzyła sobie w myślach.

Serena spoglądała to na Lori, to na Matta, jakby zastanawiając się, którego z nich powinna posłuchać. Wreszcie uśmiechnęła się przepraszająco w stronę Lori.

- Przypomniałam sobie, że Ethan miał mi coś do powiedzenia.

- Dlaczego, do diabła, usiłujesz wykręcić się w ten sposób od rozmowy? - zaatakował ją Matt, zanim jeszcze zamknęły się drzwi za jego matką.

- Od niczego się nie wykręcam - zaprotestowała Lori. - To raczej ty w dziwny sposób uciekłeś od rozmowy, wymykając się rano, zanim jeszcze otworzyłam oczy.

Kiedy obudziła się rano sama, poczuła się tak nieszczęśliwa, że bez chwili namysłu zdecydowała się opuścić Willow Creek. Zerwanie było jej ostatnią szansą na to, żeby uratować się przed rozpaczliwą potrzebą bliskości Matta.

- A co miałem zrobić? Czekać, aż znajdą nas moi rodzice, Danny, czy może jego dziadkowie?

- Nie wiem, ale uważam, że należało mi się coś od ciebie.

Cokolwiek.

- I dlatego chcesz wyjechać? Dlatego, że odszedłem rano, zanim się obudziłaś? Ponieważ wydawało mi się, że jeszcze będziemy mieli czas na rozmowę?

- Nie - skłamała. - Po prostu wracam do Nowego Jorku. Do mojego życia, mojej kariery. Ostatniej nocy...

Gwałtowny skurcz gardła nie pozwolił jej dokończyć. Z trudem powstrzymywała łzy.

- Co ostatniej nocy? - Matt podszedł do Lori, nie dając jej żadnej szansy uniku.

- Ostatnia noc w ogóle nie powinna się była zdarzyć.

- Na to już jest za późno. Ostatnia noc zdarzyła się i nic już na to nie poradzimy.

Stał tuż przed nią. Lori widziała kurz, jakim pokryła się podczas pracy jego czupryna i koszula. Oparła się rękami o szafkę za plecami. Nogi uginały się pod nią. Nie z osłabienia, ale ze zdenerwowania.

- To, co zdarzyło się ostatniej nocy, niczego nie zmienia - powiedziała z najwyższym trudem.

- Do diabła! Zmienia, i to wiele! - wybuchnął.

Ujął jej twarz w dłonie. Choć jego oczy zdawały się ciskać pioruny, dotyk był zaskakująco czuły.

- Ostatnia noc zrobiła z nas prawdziwe małżeństwo.

Nagle zdała sobie sprawę, że u podłoża jego zachowania leży nie wściekłość, ale lęk. Serce zabiło jej mocniej. Czy to możliwe, żeby Matt

bał się ją utracić? Zamknęła na moment oczy, przerażona myślą, że mógłby równie łatwo przejrzeć jej uczucia, jak ona jego.

- Nigdy nie miałam zamiaru zostać tu tak długo. Nigdy nie sądziłam, że sprawa naszego małżeństwa zacznie tak poważnie wyglądać. Wszystko, na czym mi zależy, wszystko, czego pragnę, jest w Nowym Jorku - odpowiedziała, z najwyższym wysiłkiem panując nad pragnieniem otarcia się policzkiem o jego dłoń jak spragniona pieszczot kotka.

- Czy chcesz, żebym pojechał z tobą? Potrząsnęła głową.

- Wiem, że nigdy byś tego nie zrobił.

Za bardzo kochała Matta, żeby domagać się od niego całkowitej zmiany trybu życia i porzucenia wszystkiego, co czyniło go naprawdę szczęśliwym.

- Znasz przecież siebie, Matt. Sam wiesz, że twoje życie związane jest z Willow Creek.

Opuścił ręce, ale nie odszedł. Stał tak blisko, że gdyby Lori wzięła głęboki oddech, jej piersi zetknęłyby się z torsem Matta.

- Wszystko, czego potrzeba mi do życia, jest tutaj. Wszystko... z wyjątkiem ciebie.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że byłbyś gotów porzucić rodzinny dom, swój warsztat, i pojechać ze mną do Nowego Jorku?

- Jeśli tylko byś zechciała, poleciałbym za tobą, nie biorąc nic prócz tego ubrania, które mam na grzbiecie.

- Jak mam to rozumieć?

- Kocham cię - odpowiedział po prostu. - Kocham cię za to, jak się śmiejesz, jak rozjaśnia ci się twarz, kiedy widzisz Danny'ego, jak z uporem pokonujesz wszelkie przeszkody, aby odzyskać zdrowie. Kocham cię

bardziej, niż sądziłem kiedyś, że można kogokolwiek kochać. Powinienem był ci to już dawno powiedzieć, Lori. Już od dawna chciałem, żebyś została moją prawdziwą żoną. I teraz chcę tego jeszcze bardziej. Jeśli tylko pozwolisz, pojedę za tobą do Nowego Jorku. A nawet na koniec świata.

- Aż na koniec świata... - Lori zamknęła oczy, żeby powstrzymać zbierające się pod powiekami łzy.

- Rzucę to miejsce, które Kocham najbardziej na świecie, żeby tylko być z tobą i z Dannym. - Chwycił ją w ramiona, zmuszając tym gestem, by uniosła powieki i spojrzała mu w oczy. - Kocham cię. Od czasu rozvodu tak cierpiałem, że przysięgałem sobie, że już nigdy nie powiem tego żadnej kobiecie. Przez dziesięć lat dotrzymałem przysięgi. Przez cały ten czas niczego nie bałem się bardziej, niż znowu oddać swego serca w czyjeś ręce. Aż do dziś. Kiedy Charles powiedział mi, że zamierzasz lecieć jutro do Nowego Jorku, poczułem się tak, jakby ziemia się pode mną rozwarła. Przez te wszystkie miesiące wyobrażałem sobie, że jeszcze ciągle mam czas, żeby walczyć o twoją miłość. Aż nagle okazało się, że nie ma już ani chwili. Zrozumiałem, że tracę cię na zawsze. Kocham cię, Lori Fenton Damschroeder. Nie rań mego serca. - Przyciągnął ją mocno do siebie. - Nie zniósłbym tego. Powiedz mi, że mnie kochasz.

- Kocham cię - odpowiedziała drżącym głosem, objęła go mocno i przytuliła policzek do mocnej, twardej piersi. - Kocham cię dłużej, niż mógłbyś przypuszczać. Ale nie umiałam się zdobyć na to, żeby się do tego przyznać.

- Jak ktoś, kto tak wspaniale radzi sobie w życiu, może być równie głupi? - spytał Matt i pocałował Lori na osłode w nos.

- Pewna nieśmiała i krucha kobieta – odpowiedziała i przytknęła wargi do jego szorstkich palców. - Tak samo jak ty bałam się o swoje serce. I nie mijałam się z prawdą, kiedy mówiłam ci, że należymy do zupełnie innych światów, Matt. Bo tak jest. To się nie zmieniło. Co będzie, jeśli nie będę umiała znaleźć sobie miejsca w Willow Creek?

- Znaleźć sobie miejsca w Willow Creek?

- Tak. Co byś powiedział na propozycję, żebym została z tobą w Willow Creek? Bo chyba nie chcę wracać do Nowego Jorku. Cieszę się bardzo z tego, że byłbyś gotów jechać tam ze mną, ale prawda jest taka, że wolałabym spróbować tutaj. Może uda mi się znaleźć jakieś zajęcie?

- A co z twoją karierą?

- Z karierą? - Wzruszyła ramionami.

- Nie będzie ci brakowało tej ciągłej gonitwy?

- Będzie. Ale to jeszcze nie powód, żeby wracać.

- Jestem pewny, że nim upłynie pół roku, znajdziesz tu sobie jakąś pracę.

- Muszę ci się przyznać, że już się nad tym zastanawiałam. Przyszło mi do głowy, że mogłabym udzielać porad inwestycyjnych. Wiem, na czym można zarobić pieniądze, i nic nie stoi na przeszkodzie, żebym dzieliła się tą wiedzą z innymi. A to z powodzeniem można robić przez telefon. U „Cartera, Finkbeinera i Straussa” też kontaktowałam się ze światem głównie za pomocą telefonu.

- Ile się zarabia na poradnictwie inwestycyjnym? - zapytał Matt z uśmiechem.

- Dużo - odpowiedziała Lori z zadowoleniem.

- To wspaniale. - Pochylił głowę i pocałował ją w szyję. - Bo naprawa maszyn rolniczych to nie jest kopalnia złota.

- Na początku będę musiała trochę pojeździć - uprzedziła go. - Trochę to potrwa, zanim się ustabilizuję.

- Mmm... - pocałował ją w usta. - Damy sobie jakoś radę. Możesz robić, co chcesz, jeśli obiecasz, że zawsze będziesz ze mną. Że kiedyś urodzisz mi dzieci i że będziesz mnie kochać. Ze szczerego serca!

- Dzieci? Proszę bardzo! Gdy tylko zgodzi się na nie doktor Scarpelli.

- Może na rocznicę ślubu? Walentynki to świetny dzień na poczęcie dziecka, nie uważasz?

- Uważam.

Jeszcze sześć miesięcy temu do głowy by jej nie przyszło, że będą z Mattem obchodzić rocznicę ślubu, że znowu zostanie matką. Przyjechała do Willow Creek niechętnie, lękając się śmierci i niepewnej przyszłości, nie zamierzając zostać tu dłużej, niż to będzie konieczne. Nieoczekiwanie znalazła mężczyznę swego życia i wymarzonego ojca dla swego dziecka - a wszystko dlatego, że kiedyś miała, jak to mówił Danny, złamane serce.

- A co z resztą? - Matt obejmował ją mocno ramionami.

- Nie braknie nam niczego. Śmiechu i radości. Przyjaciół i rodziny. Szczęścia do ostatniej chwili życia. Będziemy mieli w Willow Creek wszystko, czego zapagniemy, Matt.